

8 marca



Fot. A. Polakowski

HENRYKA KOŚ

Kwiatek dla Ewy

A my mamy pocałunek kasztana —

rozchyła wargi drapieżne,
kolcami do rąk się lasi —
jeź zielony
oswojone zwierzę.

Nam nie zrobi krzywdy
cierń ukryty,
brązowe żądło jesieni.

Jesteśmy z nią umówieni
w znajomym zakątku alei,
gdzie pocisk zawisa nad głową
i łuską bezpieczną mości drogę.

Na szlaku smutku i nadziei
Liść pięciopalczyk przywiera do dłoni
pożegnania żagiel.

A na śnieżnej pościółce
dwie główki kasztanowych ludzi
Jacusia i Agatki —
jesiennego pokolenia.

Radom

Od Kopciuszka do Noego

JERZY DOSTAŃCI

NIE wiem, czy pani Helena Martini, dyrektorka teatru paryskiego Bouffes - Parisiens, była całkiem szczerą w swojej ostatniej wypowiedzi dla prasy. W każdym razie kilka dzienników zgodnie przekazało w połowie lutego taką jej wypowiedź: „Z każdym rękopisem nowej sztuki kładę się do łóżka — jeżeli w trakcie czytania zasną, autor nie zobaczy swego dzieła na mojej scenie, jeżeli mimo największego zmęczenia doczytam do końca — autor ma mruwaną premierę”.

A któż z nas nie zna uroczoności opowieści o Kopciuszku? Już niedługo przyjdzie mi ją opowiadać wnukom. A jednak...

Tego dnia, w którym pani Martini udzielała swego wywiadu, przejechałem samochodem ok. 300 km, przeleciałem samolotem prawie 2 tys. km. Gdy jechaliśmy „Wołgą” na Kreml, aby w Pałacu Zjazdów zobaczyć balet Prókofiewa „Kopciuszka”, oczy sklepiły mi się kilkakrotnie. Ale gdy tylko pod krytymi prawdziwym złotem kopułami starego Kremla wystrzeliła supernowoczesna bryła szklano-betonowego Pałacu — zmęczenie uciekło bez śladu.

W dzień można dyskutować, czy ten budynek pasuje do szacownych, starych murów Kremla. W zimowy wieczór, gdy termometr wskazuje prawie 30 stopni mrozu, z ulgą przechodzi się u wejścia przez ciepłą kurtynę, aby zaraz potem jak wieloryb zanurzyć się w ten ocean światła i przestrzeni, wyłożonej dywanami i mozaikami, ruchomymi schodami wędrować z jednego foyer do drugiego, nasycając oczy doskonałą harmonią barw i kształtów, bogatą prostotą i funkcjonalnością każdego szczegółu.

Ale bajka, ta na scenie i rzeczywistość — bajka dla dzieci i dorosłych, dla melomanów i gruboskórnych — zaczyna się natychmiast po podniesieniu kurtyny. I to nie ze względu na niezwykle efektywne techniczne, na które pozwala ta bardzo nowoczesna scena. Podobna nam się prawdziwa fontanna na scenie, chmury i błyskawice wędrujące po niebie, aż przytłacza autentycznym bogactwem wnętrza bojarckiego zamku, w którym umieszczono część akcji. Ale od rozpoczynającego spektakl pojawienia się macechy do kończącego go wybuchu radości księcia-bojara porywa nas, zachwyca feeria ruchu — solistów, kilku-

(Zakończenie na str. 4)

HALINA CHABROS

KSIĄZKA ma format dużego albumu. Na zielonej okładce ani śladu zniszczenia. Widać, że przechowywano ją z pietyzmem, chociaż wraz z ludźmi, których dzieje opowiada, przemierzyła szmat Europy. Na karcie tytułowej starannie wykalfigrafowany napis: „Książka pamiątkowa Pociągu Sanitarnego nr 1 Okręgu Pomorskiego — Bydgoszcz”. A pod datą 22.IV.1947 r. pierwszy wpis: „W dwudziestym trzecim miesiącu istnienia pociągu, po trzymiesięcznej przerwie zimowej, najlepsze życzenia pomyślnych „wiatrów” i wykonania szczytnych zadań repatriacji Rodaków z Zachodu oraz wypełnienia sumiennie obowiązków Polaka-Obywatela” składa

JERZY TURSKI

Pełnomocnik Zarz. Gł. PCK na okręg Pomorski”.

W tych latach, gdy upojenie wolnością jeszcze trwało, a ruiny i zgłiszcząca wyzwały niezwykłą energię, nie było zbyt trudno o zapal i szczytne wypełnianie zadań. Ale ci młodzi ludzie — kierownik pociągu Józef Wiszniowski, sanitariusze Włodzimierz Mróz, Edmund Rutkowski, Edward Ronkiewicz i inni z obsługi sanitarnej i technicznej, na których uwiecznienie nie starczyło już czasu domorosłemu rysonownikowi z albumu — mieli zadania nietypowe. Tkwił bowiem w samym centrum nie tylko repatriacji Polaków z zachodu, ale i w akcji przesiedlania ludności niemieckiej z ziem polskich. Pociąg przewoził do Niemiec transporty przesiedlonych Niemców, w drodze powrotnej zabierał do kraju Polaków — więźniów obozów koncentracyjnych, ciężko chorych fizycznie i psychicznie, sieroty, których rodzice zginęli na obcej ziemi, dzieci, które urodziły się lub spędzały nieraz lata w obozach i więzieniach.

Niełatwo było w czasie tych smutnych podróży przez wyniszczoną wojną Europę zapomnieć o krzyw-

dach, jakich doznał naród polski w latach okupacji. Niełatwo było spoglądać na transportowanych Niemców jedynie jako na ludzi potrzebujących pomocy. Tym bardziej, że prawie każdy z obsługi pociągu miał jakieś osobiste, tragiczne wspomnienia, swoje własne, zapiekłe porachunki. Dr Mieczysław Kulesza zgłosił się do pracy w pociągu ze szpitala dla płucno chorych w

jęcie i takt, jakiego doznał podczas podróży na trasie Wrocław — Wittenberga od całego bez wyjątku personelu polskiego pociągu sanitarnego. Proboszcz Meyer Friedrich, Wittenberga 26.VI.1947”.

A bezpośrednio po tym wpisie: „Podobnie jak proboszcz Meyer Friedrich i ja mogłem stwierdzić podczas przesiedlenia, że opieka nad chorymi w polskim pociągu sani-

Prawda o przesiedlaniu Niemców z Polski

Glückstadt nad Elbą, w którym zetknął się bezpośrednio z tragedią b. jeńców obozów koncentracyjnych. Dr Stefan Piotrowski, który na postojach dopełniał odme gruflikom, sam był więźniem obozu. Kierownik pociągu, Józef Wiszniowski, w czasie okupacji ukrywał się na Lubelszczyźnie, gdzie napatrzył się na tragedię pacyfikowanych wsi zamajskich.

Dziś, kiedy w NRF podnosi się nową antypolską wrzawę, gdy politycy bońscy, tamtejsza prasa oraz różne ośrodki propagandy antypolskiej — zachęcając słowami listu polskich biskupów „o wzajemnym przebaczeniu win” — domagają się zadośćuczynienia za rzekome krzywdy wyrządzone ludności niemieckiej w czasie akcji przesiedlania, niech przemówią dokumenty sprzed lat 20. Wpisy do księgi pamiątkowej pociągu sanitarnego PCK Okręgu Pomorskiego nr 1, raporty i oświadczenia nauceknych świadków. Oto jeden z wpisów w języku niemieckim:

„Serdeczne podziękowania założycielom pociągu sanitarnego PCK nr 1 za znakomite przeprowadzenie transportu nerwowo chorych. W imieniu wszystkich uczestników — dr dr habil. St. Weiser”.

Oto inny wpis również w języku niemieckim:

„Najserdeczniejsze dzięki za przy-

jęcie i takt, jakiego doznał podczas podróży na trasie Wrocław — Wittenberga od całego bez wyjątku personelu polskiego pociągu sanitarnego. Proboszcz Meyer Friedrich, Wittenberga 26.VI.1947”.

A bezpośrednio po tym wpisie: „Podobnie jak proboszcz Meyer Friedrich i ja mogłem stwierdzić podczas przesiedlenia, że opieka nad chorymi w polskim pociągu sani-

tarnym w każdym przypadku była wzorowa, za co chciałbym tą drogą wyrazić najserdeczniejsze podziękowanie, 26.VI.47” — i nieczytelny podpis.

Naczelny lekarz obozu przejściowego Hasag-Altenberg-Thüringen, dr Bernhard, taką wyraził opinię, którą poparł swoimi podpisami S. Klein i H. Peisert:

„Jako goście polskiego pociągu sanitarnego nr 1 dziękujemy za przyjacielskie, gościnne przyjęcie i jednocześnie życzymy polskiemu kolegom jak najlepszych rezultatów przy pełnieniu ich przyszłych zadań”.

Niejąka Else Gold Nestrte wpisała m. in. po polsku „dziękuję bardzo!!!”, lekarz naczelny YRO Okręgu Stuttgart, dr Bernardo Santamarino, zakończył swoje serdeczne uwagi słowami „I Viva Polonia!”, a Dunka Brigitte Drewsen, wspominając „piękną podróż” z Warszawy do Gdyni wykalfigrafowała po polsku „RATUJĄCE DZIECI”. Wśród innych wpisów w językach angielskim, francuskim, rosyjskim czy włoskim widnieją m. in. podpisy naczelnych lekarzy Komisji Kontrolnej na Niemcy dr Wheatly, Okręgu Hannover dr Morphy, obozu przejściowego w Wolfsburgu dr Synekta.

(Dokończenie na str. 3)



PO Górnej Wolcie i Nigerii armia objęła władzę w Ghanie. Przedtem przewrót wojskowy nastąpił w Kongu (listopad ub. r.), w Dahomeju i w Republice Środkowej Afryki (grudzień ub. roku). Szesć przewrótów w ciągu czterech miesięcy — nawet jak na Afrykę liczba niepokojąca.

Sytuacja na tym kontynencie jest szczególnie skomplikowana, nie każdy też zamach wojskowy można ocenić jednakowo. Nigeria np. uważana była przez Zachód za bastion demokracji, oczywiście w burzliwym pojęciu. W rzeczywistości szerzyła się w tym kraju anarchia i korupcja. Rządząca partia więcej dbała o własne interesy niż o rozwój gospodarki Nigerii. Wszelkie przejawy postępowej myśli tepiono bezlitośnie. Przewrót wojskowy został entuzjastycznie poparty przez cały naród. Tego entuzjazmu zabrakło jednak w Londynie czy Waszyngtonie...

Inaczej jest w wypadku Ghany. Prezydent Nkrumah należał do grona tych przywódców Afryki, którzy zawsze zdecydowanie występowali przeciwko imperializmowi i dokladali wszelkich wysiłków mających na celu dobro swoich narodów. Nkrumah szczególnie troszczył się o rozwój gospodarki narodowej pragnąc niezależności ją od kakaowej monokultury. Kakao ma dla Ghany szczególnie ważne znaczenie, gdyż ciągle stanowił dwie trzecie eksportu tego kraju. Gdy w ub. roku w wyniku nadprodukcji i różnego rodzaju machinacji światowe ceny kakao gwałtownie spadły, sytuacja gospodarcza Ghany znacznie się pogorszyła. Elementy prawicowe podniosły głowę, uważając, że nadszedł dogodny moment do rozwinięcia antyrządowej działalności.

Przewrót wojskowy nastąpił w chwili, gdy prezydent Nkrumah przebywał z oficjalną wizytą w Pekinie. Zamachowcy najwyraźniej woleli postawić prezydenta i naród wobec faktu dokonanego. Termin przewrotu nie został więc wybrany przypadkowo.

Charakterystyczna jest reakcja burżuazyjnej prasy zachodniej. Wyraża ona poparcie dla zamachowców, ale między wierszami bez trudu można zauważyć nuty niepokojów. „New York Times” pisał np.: „Nkrumah może został odsunięty od władzy, ale „nkrumizm” — to jest jego doktryna socjalizmu i rewolucji społecznej, jego obsesja na punkcie neokolonializmu, jego ambitne koncepcje zjed-

noczenia Afryki — pozostanie przy życiu. Zdjęty może zostać urok, w którego kręgu znajdował się jego rodacy, lecz jego teorie będą nadal oddziaływały na Afrykańczyków daleko poza granicami Ghany, szczególnie na inteligencję, studentów i związkowców. Jest to siła, której nie mogą ignorować ani rządy w Afryce ani gdzie indziej”.

A brytyjski „Guardian” stwierdził: „Imię Nkrumaha będzie czczone w Afryce i nie bez racji. Nkrumah pozostanie na zawsze prekursorem niepodległości afrykańskiej i głową uciśnionej rasy walczącej o podność własną i o szacunek ze strony świata”.

Trudno w tej chwili (piszę ten komentarz 28 lutego) przewidzieć, jak rozwinie się dalsze wypadki. Na razie, jak informuje prasa, były szef bezpieczeństwa Ghany i żartowy wróg prezydenta Nkrumaha — Aminhya, który od 1961 r. przebywał w Londynie utrzymując stały kontakt z całą opozycją ghańską, odjechał z Londynu do Akry, gdzie — jak oświadczył — „natychmiast nawiąże kontakt z Narodową Radą Wyzwolenia”. Charakterystyczne jest jednak, że radio w Akrze ani razu nie wymieniło jeszcze jego nazwiska. Dla nikogo nie będzie niespodzianką, jeśli nowe władze rozpoczną teraz bój między sobą o najwyższe stanowiska. Obok Aminhya wymienia się przebywającego na emigracji Dr Bussa. Ale — podkreśla „Agyore”, „oficerowie, którzy zapamiętali władzę, zamierzają dobrze jej strzec”.

Kim są ci oficerowie? „Monde” tak pisze na ich temat: „Są oni mało znani w Londynie, ponieważ Nkrumah w ostatnich latach w znacznym stopniu odwołał korpus oficerski. Jednakże obecność tego korpusu na czele nowych władz uważana jest w Londynie za dość obiecującą wskazówkę. Armia ghańska jest bowiem bardzo brytyjska pod względem koncepcji. Oficerowie zostali przeszkoleni w wojskowych szkołach brytyjskich, a ich dawni wykładowcy mają poważny wpływ na nich. Przykłada się do nich, że w każdym bądź razie nowa ekipa składa się z ludzi, wśród których Wielka Brytania powinna znaleźć rozmówców bardziej otwartych niż Nkrumah...”

Można jeszcze dodać, że wspomniany wyżej Aminhya został przeszkolony przez amerykańską Centralną Agencję Wywiadowczą.

Zwrót w prawo — tak można lapidarnie określić to, co zaszło w Ghanie. Ale czy nowym przywódcą uda się na dłuższą metę zahamować rozwój wydarzeń?

Egipski „Al Aghram” stwierdził: „Organizatorzy zamachu obarczają Nkrumaha odpowiedzialnością za pogorszenie sytuacji ekonomicznej Ghany, ale sami szybko przekonują się, że problemy ekonomiczne nie są tak proste, jak sądzą. Być może, będzie to skąpa, o którą rozbije się pewnego dnia ich władza”.

ma-jaw

Propaganda kłamstwa

Niedawno zachodni Niemiecki telewizor nadawał audycje pt. „Przedsiedleńcy 1966”. Przez ekran przewinęły się dziesiątki ludzi: młodzi i starzy, zwykli obywatele NRF i działacze, zajmujący eksponowane stanowiska. Autorzy programu postanowili wyjaśnić, jaka jest obecna sytuacja ludzi, którzy opuścili kiedyś tereny leżące na wschód od Odry.

Odpowiedź nie przyniosła żadnej niespodzianki. Przedsiedleńcy nie odróżniają się już dzisiaj od innych mieszkańców NRF poziomem życia. Nie ma między nimi różnic w zarobkach, warunkach mieszkaniowych, poziomie wykształcenia. Wielu jednak ulega propagandzie przywódców organizacji rewizjonistycznych i żywi złudzenia na temat szans powrotu do — jak oni to nazywają — „starej ojczyzny”.

Wrócić chcą najczęściej starzy ludzie, którzy pamiętają opuszczone tereny, nie brak jednak wśród nich młodzieży. Chcą wrócić, ale na określonych warunkach: „Gdyby to było możliwe bez wojny — to tak” — brzmiał charakterystyczny odpowiedź syna b. przesiedleńcy z Wrocławia.

Właśnie — bez wojny. Wbrew temu, co usiłują opinii publicznej wmówić przywódcy ziomkostw i przedstawiciele bońskiego rządu, większość przesiedleńców nie wykazuje ochoty do walki o utracone ziemie. Zadomowili się oni w nowych miejscowościach, stopili się z miejscową ludnością, stali się takimi samymi jak ci, którzy nad

Renem mieszkają od urodzenia. Niektórzy istotnie chcieliby wrócić. Chcieliby, gdyby zainicjował odpowiednie warunki. Ale zdają sobie sprawę z tego, że to jest niemożliwe. Wiedzą, że cena, jaką przyszłoby zapłacić za powrót, jest nie do przyjęcia.

„Ceną może być tylko wojna, albo stworzenie takiej sytuacji, jakiej praktycznie w naszym stuleciu stworzyć się nie da” — brzmiał odpowiedź jednego z zapytanych. „Nie może już być małych wojen, małych konfliktów. Każdy, kto chociaż trochę myśli, musi sobie z tego zdawać sprawę. Tymczasem słyszymy ludzi dmących w trąby i głoszących, iż możliwe jest przywrócenie dawnego stanu rzeczy. To jest wielkie kłamstwo”.

W propagandzie tego kłamstwa zainteresowanych jest wielu ludzi. Widzą oni w nim jedyną szansę utrzymania polityki domagającej się rewizji postanowień poczdamskich i przywrócenia granic z 1937 roku.

W ostatnich latach przywódcy bońscy musieli w tej sprawie przejść na pozycje zdecydowanie defensywne. Jednolitą postawą społeczeństwa polskiego i negatywny stosunek międzynarodowej opinii do odwetowych ciągów ostudzili wyraźne zapaly przesiedleńczych liderów. Na dodatek w samej NRF odezwały się trzecie głosy krytykujące nierealistyczną politykę rządu bońskiego i domagające się uznania istniejących faktów.

Odwetowcy spuścili z tonu. Poczuli wycofywać się z twardego gruntu. Dostrzegli, że grozi im izolacja także we własnym kraju. Na lamy prasy coraz częściej przedostawały się głosy tych, którzy obiektywnie oceniają sytuację. Społeczeństwo zachodniemieckie zaczęło dowiadywać się, że żadne prawo międzynarodowe nie zna pojęcia „prawa do stron ojczyźnych”. Wokół żądań uznania przez NRF granicy na Odrze i Nysie skupiała się coraz większa liczba zachodniemieckich intelektualistów. Ich droga prowadziła od znanego oświadczenia grupy profesorów z Tybingi, poprzez pełne pasji nawoływanie Gollo Manna, Klause Bismarcka i Nevena du Mont'a, aż do znanego memorandum działaczy zachodniemieckiego kościoła ewangelickiego. Nie ma najmniejszych szans na zmianę obecnej polsko-niemieckiej granicy, Polacy nigdy na ten temat nie będą z nikim rozmawiać — taki był ton tych wystąpień.

„Oredzie” polskich biskupów do biskupów niemieckich radykalnie zmieniło sytuację. Odżyły stare rachuby na możliwość zmiany obecnych granic bez ryzyka nowej wojny.

Do dzieła zabrał się starzy spec. „Spiegel” przyniósł wywiad z nowym ministrem do spraw przesiedleńców — Gradlem, „Die Welt” — z przywódcą SPD Erlerelem. W Akademii Ewangelickiej w Bad Boll wystąpił ostawiony Jaksch. Nicia przewodnią ich wystąpień było przeświadczenie, że istnieje możliwość odzyskania utraconych terenów i w związku z tym trzeba nastawić się na „rozmowę” z Polakami. Oczywiście nie obejdzie się bez ofiar ze strony NRF. Ofiary te jednak muszą być atrakcyjne dla

Polaków. Gradl wspomina o rezygnacji z „pewnego zbrojenia”, Erlerele o jakichś gwarancjach. Ale i jeden i drugi główny nacisk kładzie na ofiary materialne. Gradl napomyka o markach i kompletnych urządzeniach fabrycznych, Erlerele wymienia konkretne propozycje materialne, a Jaksch bez ogródek stwierdza: „Niemieckie terytoria wschodnie można by odzyskać przy pomocy odpowiednich świadczeń materialnych. Plan Marshalla dla Europy wschodniej powinien ułatwić Polakom rezygnację z ich nowych terenów”.

Wymowa tych enuncjacji jest jednoznaczna. Pod adresem Polski wysunięta została zwykła, handlarzka oferta sprzedaży Ziemi Zachodnich za parę milionów marek lub pomoc gospodarczą zachodnich Niemiec. Nie wiadomo, o bardziej podziwiać w tych wystąpieniach: bezczelność czy naiwność.

Kiedyś zachodni Niemieccy rewizjoniści odgrazali się pod naszym adresem licząc na nową wojnę, myśleli, że wrócą na Wschód wraz z wielką wyprawą krzyżową przeciwko obozowi socjalistycznemu. Dziś proponują zwykły przetarg. Ludzki, że ktokolwiek w Polsce zgodziłby się handlować ziemią, w którą wstąpiła krew najlepszych synów Polski, ziemią życia i pracy 9 milionów Polaków.

Wielkie kłamstwo ma na celu udowodnienie, że możliwy jest powrót na Wschód za zgodą Polaków. Oczywiście, chodzi o przesiedleńczą klientelę. Na użytek wewnętrzny populizm używa innego hasła. W jednostkach wojskowych Bundeswehry rozpowszechniana jest pieśń, która nie bierze pod uwagę niuansów politycznych. Tu się śpiewa to, co się czuje. I do czego czyni się przygotowania.

„Niemałs Deutscher,
Vergiss, was blinder
Hass dir geraubt hat.
Harre die Stunde
Der Sühne blutende
Grenze Schmach.
Danzig
Graudenz, Kulm
Thorn, Dierschau
Preuss Stargard
Posen
Bromberg, Gnesen,
Kolmar, Rawitsch,
Hohensalza, Lissa”.

(Nigdy Niemce,
Nie zapomnij, co ślepa
Zrabowała ci nienaściś.
Czekaj na odcięcie
Zemsty za hańbę
Krwawej granicy.
Gdańsk,
Grudziądz, Chełmno,
Toruń, Tczew,
Stargard Gdański,
Poznań,
Bydgoszcz, Gniezno,
Chodzież, Rawicz
Inowrocław, Leszno

Wielkopolskie”.

Tak więc hasło brzmiał: Danzig, Bromberg, Kulm. A Inna piosenka Bundeswehry podaje odzew:

„Ja, wir war'n die Herren der
Welt
Und wollen's, beim Teufel, noch sein”
(„Tak byliśmy panami świata,
I, do diabła, chcemy być nimi
znowu!”)

J. B.

PRZEKONANIE, że prawdziwa Polska znajduje się poza stolicą utwierdziło się już na dobre, przynajmniej w świadomości publiczności, nie od dziś czytamy bowiem artykuły głoszące zanik prowincji, wybijające dla niej uroczyste podzwonne. Środki masowej komunikacji i upowszechnienia kultury robią swoje i menu kulturalnego człowieka niewiele różni się w stolicy i w powiatowym mieście. Wiele podstawowych dla gospodarki inwestycji dokonuje się na nowych terenach (Płock, Turowsów, Puławy) i nawet zwykłe reportaże, nie mówiąc o pogłębionych badaniach socjologicznych wskazują jak bardzo wpływa to na ożywienie całego regionu.

Nie wszędzie da się lokalizować wielkie zakłady. Ale ożywić gospodarczo i kulturalnie można każdy ośrodek, zależy to tylko od mądrej inicjatywy. „TYGODNIK DEMOKRATYCZNY” prowadzi ostatnio cykl publicystyczny „Na szlaku małych miast”. W artykule „Inna prowincja”, Tadeusz Sobociński pisze, jakie warunki powinny być spełnione: „Wykorzystanie miejscowych surowców i rezerwy siły roboczej może z miasteczek tych uczynić stolice otaczających je mikroregionów. Miejscowości te powinny też spełniać rolę usługowego zaplecza dla okolicznych wsi, co stanowi główną szansę ich rozwoju. Bo to w nich, małych miastach, muszą być lokowane wszelkiego typu usługi (...) a także różne inne ośrodki gospodarcze, pełniące swą rolę w stosunku do okolicznych wiosek i osad”.

Możliwości aktywizacji są bardzo wielkie, różne i niespodziewane. O jednej z nich mówi w „MAGAZYNIE NIEDZIELNYM” (dodatek do „Słowa Ludu”), R. Makowski w artykule pt. „Szansa dla Sandomierza”. Oto po artykule na temat perspektywy Sandomierza przyszło do redakcji sporo listów wśród nich od Ireny i Tadeusza Byrskich, znanych reżyserów. Nawiązując do przeszłości Sandomierza i jego przyszłości pisali:

„Niechże Huta Szkła stanie się patronem i symbolem nowego życia. Oby obok ożywionego zamku mógł stanąć najnowocześniejszy budynek z nieznanymi jeszcze materiałami, w którym prezentowałyby się nowe formy, kształty, widowiskowe. Wiemy, że nie tylko my dwoje, ale więcej dobrych zawodowców myśli o nowych pionierskich terenach, które odświeżają psychikę twórcy”. Chodzi Byrskim o stworzenie eksperymentalnego teatru, nie „przemawiającego do serca jak najszerzej rzeszy zwyk-



tych ludzi. Jak to można osiągnąć? Stopniowo, przez przyzwyczajanie widzów do wchłaniania tego, co jest najlepsze. Przez podawanie treści trudnych sztuk w sposób interesujący i przystępny. Chcąc stworzyć własny, sandomierski teatr — nowym na naszym terenie”. Władze miejscowe i Huta Szkła chcą udzielić jak najdalej idącej pomocy finansowej. Ochotników na przyjazd do Sandomierza znalazło się wielu. Warto więc wszystko uczynić, aby ciekawy pomysł stał się rzeczywistością. Nie zaszkodziłoby, gdyby Sandomierz spełnił rolę polskiego Dubrownika. Ma po temu wiele danych.

W innym jeszcze świetle stawia życie kulturalne Polski powiatowej H. Berezę w zamieszczonej w „TYGODNIKU KULTURALNYM” wypowiedzi „Dzięki ZMW poznałem Polskę”. Nazwał on ZMW najlepszym instytucjonalnym mecenasem literatury, z jakim się zetknął. Berezę pisze o swoich doświadczeniach ze spotkań i odczytów wygłaszanych na przestrzeni kilku lat w terenie. Spotkania te, czasem devaluowane, przyniosły wiele pożytku nie tylko odbiorcom, ale także autorom. Często pisarz odkrywa normalny świat. Oto jedna z przygód Berezę: „Nauczyciel, zdaje się agronom z powiatu gortlickiego, zadał mi takie pytania, dotyczące twórczości Faulknera, że nie potrafiłem na nie odpowiadać, a przecież znam nie najgorzej wszystko, co tego pisarza dotyczy”.

I jeszcze jeden przykład: „Spotkanie w Technikum Pszczelańskim w Pszczelach Woli to całe niezapomniane przeżycie. Tak pięknej szkoły nie tylko nie widziałem w życiu, ale nawet nie mógłbym sobie wyobrazić, że taka szkoła może w ogóle istnieć. Ta szkoła to zrealizowane marzenie o szkole. Przez kilka dni nie mogłem o czymkolwiek innym myśleć i mówić. Nie znam prawie uczucia zazdrości, ale w Pszczelach Woli zazdrościłem trochę uczniom; nauczyłem. Piękno tej szkoły jest właściwie w naszych warunkach niesprawiedliwością, nie mam jednak za złe tej niesprawiedliwości”.

Warto odnotować jeszcze wywiad ze Stanisławem Mikulskim, który zamieszcza „STOLICA”.

T. K.

Sesja o partyzancie lubelskiej

WDNIACH 27 i 28 lutego odbyła się w Lublinie sesja popularnonaukowa, poświęcona walkom partyzantką na Lubelszczyźnie w czerwcu i w lipcu 1944 roku. Organizatorami sesji byli: Zarząd Okręgu Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Lublinie, Lubelskie Towarzystwo Historyczne oraz Muzeum Lubelskie.

Wiceminister obrony narodowej, gen. dyw. Grzegorz Korczyński, wygłosił referat „Niektóre aspekty rozwoju działań Armii Ludowej w przededniu wyzwolenia”, ppłk Waldemar Tuszynski mówił „O sytuacji operacyjnej partyzantki lubelskiej po wiosennych przeciwdzierzaniach okupanta”, mgr Jan Nowak

przedstawił referat „Udział BCH w ostatniej fazie walk na Lubelszczyźnie”, dr Zygmunt Mańkowski i mgr Ireneusz Caban — „Działania zbrojne AK w lipcu 1944 r. na Lubelszczyźnie” i red. Leszek Siemion — „Bilans wysiłku zbrojnego Ruchu Oporu na Lubelszczyźnie w lipcu 1944 r.”.

W sesji wzięło udział ok. 200 b. partyzantów z wszystkich większych oddziałów. W ożywionej dyskusji dorzucono wiele faktów do znanych już akcji. Dr Góra z Zakładu Historii Partii uzupełnił referaty syntetyczną informacją o partyzancie radzieckiej.

Do tematów poruszonych na sesji powrócimy w „Kamieniu”.

Komunikat BWA

BIURO Wystaw Artystycznych w Lublinie zaprasza do udziału w I Ogólnopolskiej Wystawie Plastycznej pt. „Sztuka Okresu Okupacji”.

Celem wystawy jest zaprezentowanie prac plastyków polskich, wykonanych wyłącznie w okresie okupacji hitlerowskiej, tj. w latach 1939—1945.

Na wystawie przyjmowane będą prace z dziedziny malarstwa, rysunku, rzeźby i grafiki. Ze względu na doniosłość i charakter wystawy przewiduje się przyznanie nagród i dokonanie zakupów. Termin nadsyłania prac — na adres Biura Wystaw Artystycznych w Lublinie, ul. Narutowicza 4 — upływa z dniem 1 kwietnia 1966 r.

Otwarcie wystawy „Sztuka Okresu Okupacji” nastąpi w maju br., w Dniu Zwycięstwa nad faszyzmem, w przeddzień 22 rocznicy Odrodzenia Polski, w ostatnim roku obchodów 1000-lecia Państwa Polskiego.

Wystawa będzie czynna w maju 1966 r. Uczestnicy wystawy otrzymają katalogi do 30 czerwca br. Biuro Wystaw Artystycznych zastrzeżenie sobie możliwość powtórzenia ekspozycji w innych województwach.

Informacji dotyczących wystawy udziela sekretariat BWA w Lublinie, ul. Narutowicza 4, tel. 259-47.

Lublin w Tysiącleciu

HENRYK ZINS

W OKRESIE Milenium i obchodów związanych z Tysiącleciem w centrum społecznej uwagi znalazła się historia Polski i problem naszego miejsca w Europie i świecie. W rzadko spotykanym dotąd stopniu i natężeniu zagadnienia ściśle historyczne, interesujące zwykle dotąd jedynie zawodowych historyków, stały się istotną częścią życia społecznego, sprawą ważną i bliską na co dzień. Teraźniejszość i przeszłość współżyją ze sobą w tym wielkim jubileuszu naszego kraju. Ogarniamy w tym czasie całość historii Polski rozumując ją znacznie lepiej, bogatsi o doświadczenia i perspektywy naszej epoki.

Problematyka Milenium sprawia, że obok rozległych zagadnień losów państwa i narodu polskiego, żywe również zainteresowanie budzi historia regionalna, dzieje miast, ziem i województw polskich, ich rola i znaczenie w przeszłości i czasach nie tak bardzo od nas oddzielonych. W związku z tym warto dokonać ogólnego rzutu oka na miejsce Lublina w dawnych wiekach, miasta, które przez dłuższy czas odgrywało niemałą rolę w politycznym, gospodarczym i kulturalnym życiu naszego narodu i należało do najważniejszych ośrodków miejskich dawnej Rzeczypospolitej, szczególnie pod koniec średniowiecza oraz w epoce Renesansu. Do szkieletowego podjęcia tego tematu zachęca również zbliżająca się 650 rocznica prawdopodobnie lokacji Lublina (obchodzić ją będziemy w przyszłym roku). Warto wreszcie przy tej okazji wspomnieć o ogłoszonym przed kilkoma tygod-

niami i tomie historii naszego miasta, który w dużej mierze zaspokoił od dawna odczuwane zapotrzebowanie na tego rodzaju publikację.

Uytuowanie geograficzne Lublina tłumaczy w dużym stopniu jego dawne znaczenie jako centralnego ośrodka na rozległym obszarze pomiędzy środkową Wisłą a Wieprzem. Dodajmy do tego, że rolę tę zawdzięczał też Lublin w odległych czasach swemu pogranicznemu położeniu na styku dwóch różnych gospodarstw krain: północnej leśnej i południowej rolniczej, w miejscu, które przez zbieg kilku dolin było punktem skrzyżowania dróg i wymiany handlowej. Ponadto posiadał korzystne naturalne warunki obronności, niezmiernie ważne i decydujące o powstaniu grodów w dawnych czasach. W okresie przedpiastowskim osiedle nazwane później Lublinem leżało w bezpośrednim pobliżu spływu trzech rzek: Bystrzycy, Czarniejówki i Czechówki, których wyższy znaczenie od dzisiejszego wodostan w połączeniu z większymi przybarami wiosennymi i letnimi zapewniało pożądaną obronę.

Mimo intensywnie prowadzonych od kilku lat prac wykopaliskowych bardzo mało wiemy o najstarszej, wczesnośredniowiecznej osadzie lubelskiej. Na ogół przyjmuje się, że znajdowała się ona na Czwartku, chociaż nie jest wykluczone, że równoległe na kilku innych wzgórzach („kirkut” z Biłkowską Górą, Stare Miasto, może Zmigród) mogły istnieć osady, których znaczenie różniło się w różnych najdawniejszych okresach kształtowania. Choć tradycja miejscowa i w

pewnym stopniu badania archeologiczne wskazują na Czwartek jako na miejsce najstarszego grodu lubelskiego, warto wspomnieć, że niektórzy historycy skłonni są przyjmować, że wczesnośredniowieczny gród lubelski był zawsze na tym samym miejscu, tzn. na dzisiejszym wzgórzu zamkowym. W każdym razie metryka początków Lublina jest bardzo stara, skoro mistrz Wincenty zwany Kadłubkiem, zamieszczając w swej kronice pod koniec XII w. najstarszą wzmiankę o Lublinie (przyjmuje się w niej rolę założycielki Lublina... siostrze Juliusza Cezara — Julii), zaliczał Lublin do najstarszych grodów Polski i wskazywał na jego zamierzenie i wówczas już, na przełomie XII i XIII w., prawdziwe i okryte mgłą zapomnienia pochodzenie.

Pomijając mało zbadane czasy najdawniejsze, należy sobie postawić pytanie, jakie czynniki wpływały w średniowieczu na rozwój Lublina i co sprawiło, że stał się on stopniowo ważnym ośrodkiem miejskim, zarówno w życiu politycznym jak i gospodarczym dawnej Rzeczypospolitej. Przypomnijmy najpierw znaczenie dzielnic sandomierskiej w Polsce wczesnopiastowskiej, dominującą tam rolę Sandomierza i podrzędniejszą Radomia, Lublina i Zawichosta, w których osadzone w XII w. archidiaconów dla wschodniej części diecezji krakowskiej. Wszystkie wymienione archidiaconaty obejmowały tereny po obu stronach Wisły, będącej główną arterią Ziemi Sandomierskiej. Jeszcze wcześniej, już od X lub XI w. Lublin był siedzibą namiestnika ksiąskiego, zwanego z języka łacińskiego kasztelanem, o którym jednak dopiero od XIII w. posiadamy bliższe mienne wiadomości. Archidiaconat lubelski obejmował pas najlepszych gleb lessowych między Wisłą a Wieprzem oraz ziemie okoliczne. Natomiast tereny na prawym brzegu Wisły, powiaty: Lublin, Bychawa, Bełżyce, Opole, Puławy, Lubartów i Parczew stanowiły kasztelanii lubelskiej, należącej do największych w dawnej Polsce.

W XIII w. piastowskie ziemie nad Wieprzem, a wśród nich Lubelszczyzna, stały się przedmiotem walk polsko-ruskich, areną rozgrywek politycznych i starć militarnych. Po chwilowej przegranej Leszka Białego większą inicjatywę okazał Daniel Romanowicz, który jak-

gdyby dla przeciwwagi wobec Lublina zbudował sobie nową stolicę w Chełmie. Od czasu wielkiego najazdu Tatarów na Polskę w 1241 roku. Ruś osiągnęła na tym terenie dość znaczną przewagę. W połowie XIII w. Lublin znalazł się na krótko w rękach ruskich. W drugiej połowie XIII w. Lubelszczyzna odzyskana przez Bolesława Wstydliwego, stała się terenem walk pogranicznych, najazdów litewskich, ruskich, napadów Jazdźwiniów i Tatarów, połączonych ze zniszczeniem i jak w 1253 r. — spaleniem Lublina przez Litwinów.

Okres walk w drugiej połowie XIII w. wpłynął wyraźnie na wyodrębnienie w dzielnicy sandomierskiej ziem na wschód od Wisły i uzyskanie przez Lublin stołecznej roli na tym obszarze. Piszący pod koniec XIII w. autor Kroniki Wielkopolskiej zastępuje już nazwę dzielnicy sandomierskiej określeniem: prowincja sandomierska i lubelska. W toku walk pogranicznych Lublin awansował wyraźnie na stolicę wschodniej rubieży Małopolski, do wzrostu jego znaczenia przyczyniały się, obok czynników gospodarczych, również i polityczne. W najstarszych wzmiankach źródłowych z XII i XIII w. występuje Lublin wyraźnie jako ważny, kresowy ośrodek władzy państwowej i kościelnej, wywierający wpływ na cały pas osadniczy między Wisłą a Wieprzem.

Pod koniec XIII i na początku XIV w. zaznaczył się też wyraźny wewnętrzny rozwój Lublina: obok grodu i dawnego podgrodzia wyrosła duża osada o charakterze miejskim na terenie dzisiejszego Starego Miasta. W tym to właśnie okresie otrzymał Lublin w 1317 roku od Władysława Łokietka przywilej lokacyjny, nadający mu prawa miejskie łącznie z całym szeregiem ważnych przywilejów, zapewniających dalszy korzystny rozwój miasta. Abstrahując tutaj od hipotezy o wcześniejszej lokacji Lublina (ewentualnie już w połowie XII w.), należy podkreślić duży rozmach, z jakim podjęto lokację Lublina w 1317 r. Znaczenie uposażenie miasta ziemią (100 łanów), duża wolność i przywileje handlowe nadane wówczas Lublinowi wskazują na jego rolę w polityce Władysława Łokietka, który widocznie starał się podnieść Lublin do rangi znaczącego ośrodka miejskiego w Polsce. Młodo, otoczona zapewne już w XIV w. murami, na-

bierność z racji swego położenia geograficznego coraz większego politycznego i militarnego znaczenia, zwłaszcza w czasach Kazimierza Wielkiego. Wskazuje też na to pochodzić z połowy XIV w. wzmianka o staroście lubelskim wyposażonym w dosyć znaczne kompetencje, a dalej o chorążym i wojskiem lubelskim, z czym niektórzy historycy wiąжали nawet przypuszczenie, że już wówczas podejmowano próbę utworzenia województwa lubelskiego, co stanie się jednak dopiero o całe stulecie później.

Najbardziej istotnym czynnikiem decydującym o dalszym tak bujnym rozwoju Lublina w XV i XVI w. był moment gospodarczy, korzystny wynikający z położenia miasta na coraz silniej występującym skrzyżowaniu ważnych dróg handlowych. Możliwość takie otworzyły się również i dla Lublina na skutek zajęcia przez Kazimierza Wielkiego Rusi Czerwonej oraz nawiązania kontaktów z rozwijającymi się tak żywo od schyłku XIII w. koloniami genueńskimi nad Morzem Czarnym. W nabierającym dużego znaczenia handlu międzynarodowym stał się Lublin stopniowo ważnym etapem zwłaszcza dla kupców udających się na Ruś od strony Poznania, Torunia i Gdańska. Z drugiej strony Lublin stał się naturalnym pośrednikiem w wymianie pomiędzy monarchią polską a wielkim państwem litewskim. W połączeniu przez Jagiellonów państwie Lublin uzyskał niezmierzanie dogodną pozycję na pograniczu trzech obszarów gospodarczych: Polski, Litwy i Rusi. W fakcie tym znajdujemy przede wszystkim wyjaśnienie przysięgi świętości naszego miasta, które awansowało w ten sposób do rangi jednego z pierwszych ośrodków Rzeczypospolitej.

Wspomniany wyżej rozwój Lublina był zrazu dosyć powolny i nie od razu miasto mogło wykazywać wszystkie możliwe wyniki, jakie z handlu międzynarodowego. Na przeszkodzie stała m. in. polityka gospodarcza Krakowa, który był dosyć potężny, by udaremnić próby stworzenia dróg konkurencyjnych dla swojej własnej drogi do Lwowa oraz drogi ze wschodu do Wrocławia. Odsunęli od handlu z Rusią kupcy lubelscy potrafili wejść na szlaki mało dawnej wykorzystywane, szczególnie pomiędzy oddzielnymi przez Zakon

(Dokończenie na str. 11)

Prawda o przesiedlaniu Niemców z Polski

(Dokończenie ze str. 1)

Kierownik punktu zdawczego w Kozłowsku stwierdza w raporcie: „Transport sanitarny przybył do Kozłowskiej z repatriantami niemieckimi dnia 25.IV. godz. 15.20 roku 1947. Stan wewnątrz pociągu bardzo dobry, personel polski zorganizowany, grzeczny i miły. W wagonach ciepło, czysto, opieka bardzo dobra”.

Pociąg sanitarny PCK nr 1 przewoził transporty niemieckie od listopada 1946 r. do lutego 1948 r., wracając do kraju z transportami Polaków. Z przytoczonych jak i wielu innych dokumentów wynika, że nie było żadnych różnic w warunkach transportu Polaków i Niemców. Oto treść relacji, przekazanej przez ówczesnego kierownika p. J. Wiszniołowski:

— Można nawet powiedzieć, że Niemcy byli w pewnym stopniu uprzywilejowani. Podczas każdego kursu na zachód wieźliśmy 5 wagonów towarowych, wyładowanych dziesiątkami ton dobytek, nie licząc osobistego bagażu w przedziałach. W drodze powrotnej natomiast wagony wracały puste, natomiast Polacy wracający do kraju byli nie tylko wyniszczeni fizycznie, ale mieli ze sobą niewielkie zawiniątko. Wrócili do spalonych domów, do zrujnowanych miast, do mogił swoich najbliższych.

Właściwy pociąg składał się z 32 wagonów, a w nim 500 miejsc leżących w każdym przedziale lokowanych po 4 chorych. Pociąg miał własne ogrzewanie, oświetlenie, wodę, naczynie wyposażoną kuchnię, ambulans i chłodnię. Pierwszy transport z Trzcianki i Zielonej Góry zabrał 489 osób — przeważnie ludzi starszych i dzieci. Ładowanie repatriantów niemieckich i ich dobytek trwało 16 godzin. Ludzi wraz z ich dobytekiem dowieziono na stację samochodami. Posiłki wydawano 3 razy dziennie, podobnie jak Pola-

kom. Lekarze i sanitariusze dokonali normalnego obchodu przez cały pociąg. Podobnie było w następnych transportach. Wiele niemieckie dzieci-sieroty do Schöningen i Liepstadt, potem do jeńców niemieckich, a nawet 248 Niemców umyślów chorych, którzy przebywali w naszym szpitalu pod Gnieznem. Odwieźliśmy ich do Lörte, stamtąd zabraliśmy 234 Polaków, którzy na skutek przejeżdżania w obozach koncentracyjnych lub w czasie powstania warszawskiego zapadli na choroby psychiczne.

Szczególnie uciążliwy był transport z psychicznie chorymi Niemcami. Byli oni całkowicie opętani przez strach. W hitlerowskich Niemczech psychicznie chorzy odmawiano prawa do życia. Pamiętał, jak sanitariusze niemieccy znęcali się nad nimi, jak zastrzykami usypiano na zawsze ich towarzyszy niedoli. Na początku więc siedzieli jak przestraszone zwierzęta, bojąc się, że wiziemy ich na śmierć. Pod wpływem serdecznej perwazji, w wyniku stosunku naszego personelu do nich uspokoił się. Ani jeden nie targał się na swoje lub cudze życie, żaden nie wyskoczył z pociągu. Dowieźliśmy wszystkich zdrowych fizycznie do zakładu w Lörte.

Było to w Wolfsburgu — ciągnie p. Wiszniołowski. — Załadowaliśmy 345 osób, w tym 15 niemowląt, 12 dzieci oraz 121 chorych i kobiet. To było w grudniu 1946 r. Stałami na rampie. Odczepiono parowóz, który miał pojechać po wodę po sąsiednim torze. Mgła była gęsta, więc maszynista jechał wolno i bardzo często dawał sygnały. Nagle gwałtowny wstrząs poderwał wszystkich. Rozległ się zryczy żelaza, trzaśki łamanych desek, krzyki przerażonych ludzi. Parowóz wjechał w sam środek pociągu, rozbił dwa wagony. Okazało się, że ktoś przestał zwrotnicą, a maszynista wskutek męły nie zorientował się na czas. Na szczęście, obyło się bez większych obrażeń. Siostrzenica prezydenta Roosevelta, Erna Delano, która z ramienia UNRRA przebywała właśnie w Wolfsburgu, bardzo przejęła się tym wypadkiem. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że katastrofa była wynikiem prowokacji. P. Delano natychmiast wystąpiła do nas o dwa nowe wagony. Dzieci niej przedzielono nam także 600 nowych kocy i trochę szortów. Zniszczone wagony zabrałim do Polski — były w tym czasie zbyt cenne dla uboższego kraju.

Pociąg sanitarny nr 1 powstał jeszcze jesienią 1945 r. Wówczas składał się z wagonów towarowych, wyposażenie było bardzo skromne. W tych prymitywnych warunkach przywieziono do kraju m. in. cały transport polskich więźniarek z Ravensbrück, więźniów z Oranienburga. Ja — mówi p. Wiszniołowski — objąłem kierownictwo późną jesienią 1945 r. Zdołem zaraz na początku kilka wagonów osobowych, szkło do wszystkich okien, łóżka, kilkadziesiąt materacy i kocy. Wagon-ambulans zbudowaliśmy we własnym zakresie, a rolę stołu opatrunkowego pełnił fotel ginekologiczny. Po dwóch latach mieliśmy już rentgen, lampy bezciennowe, stoły operacyjne, instrumenty. Gdy z obozu w Wolfsburgu przywoziliśmy niemowlęta bez matek (bywały transporty ze 100 niemowlętami) w jednym z wagonów urodziło się dziecko. Wtedy jeden z przedziałów przerobiliśmy na coś w rodzaju żłobka — wybiliśmy przedział materacami, umieszczając wszystko tuż za wagonem grzewczym. Bywało, że dzień i nos praliśmy pieluchy, bo osłabione matki nie miały na to siły.

W kwietniu 1946 r. wyruszyliśmy do Szwajcarii z 400 warszawskimi dziećmi zagrożonymi gruźlicą. W drodze powrotnej z Funk Kaserne (dzisiejsza NRF) zabraliśmy 109 polskich dzieci, wywiezionych do Rzeszy w czasie okupacji. Była to tragiczna podróż. Dzieci nie mogły zapomnieć przeżyć z Niemiec — jedne były przecież w więzieniach i obozach, inne pracowały nad siły na roli czy w restauracjach. Wiele pochodziło z Zamojszczyzny, pamiętając koszmarny okres pacyfikacji. Prawie wszystkie wiedziały, że nikt z rodziny nie czeka na nie w kraju. Jedną z dziewczynek ze łzami opowiadała, że właśnie wybierała się plechotą do kraju. Straciła rodziców, ale chciała być w ojczyźnie.

I w tym to właśnie okresie, kiedy trzeba było tyle polskich dzieci odnajdywanych w Niemczech przywrócić rodzicom albo oszodzić im sierocotwo serdeczną opieką państwa, kiedy tyłu jeszcze b. więźniów obozów koncentracyjnych czekało w obcych szpitalach na powrót do kraju — biedna jeszcze, wykrawalona, lecząca dopiero pierwsze rany Polska jeden ze swych nieludzkich pociągów sanitarnych włączyła do akcji przesiedlania Niemców. Woziliśmy ich w dobrych, a nawet bardzo dobrych warunkach, w takich samych, jak naszych

JAN GÓREC-ROSIŃSKI

Krótki wywód o humanizmie

Było to w roku swastyki

wszystkie drogi leżały martwe
wszystkie domy zamykały się jak grobowce
świątobliwy Ijob na miejskim śmietniku
szukał objawienia
a opodał piesek amskomisarza
zajadał udko kaczki

na placu przed dworcem kolejowym
cieniów wkładano naszyjnik z karabinów maszynowych
na podróż do Miejsca Przeznaczenia

leutnant Apollo SS bosko obślizgiwał plot
i szcował kółką dla Irysa
która niosła ciężą Führera
na zebranie NSDAP-Frauenschaft

do gmachu Schutz Polizei
przyprawdzili bandytę
(połaj kubek wody umierającej Żydówce)

maly Kupido z Hitlerjugend
pluł na starą kobieję
(w ramach czystości rasy)
w bydłych wagonach plombowano ludzkie konserwy
na mydło popiół ścierwo
Nur für Deutsche

na wschodzie tiliła się łuna niepolarna
padi strzał
sentymenyalny mieszczanin ze snów Rosenberga
mordował moją jawę

pochowalem ją bezielenną
nawet bez napisu „TU LEŻY HUMANIZM”

własnych obywateli, jak polskich chorych. Trzaskaliśmy się o ich potrzeby, dbaliśmy o zdrowie.

A dzisiaj — konczy p. Wiszniołowski — po 20 latach antypolskiej propagandy w NRF fabrykuje oszczerstwa o „krzydłach”, wyrządzanych wysiedlanej ludności niemieckiej. Jaka była to „krzydła” świadczą przytoczone dokumenty. A ja, kierownik tego pociągu, mogę stwierdzić z czystym sumieniem, że przesiedlanie odbywało się w sposób całkowicie humanitarny. Tak dalece humanitarny, jak tylko to było możliwe w ówczesnych warun-

kach. Gotów jestem spojrzeć prosto w oczy każdego z Niemców, których wiozłem na zachód. Zawsze starałem się zapomnieć o tym, że wiozę przedstawicieli wrognego nam narodu. Tak samo myśleli i postępowali moi koledzy.

Halina Chabros

P. S. Pan Józef Wiszniołowski, b. pilot lotnictwa cywilnego PKWN, b. kierownik pociągu sanitarnego nr 1 PCK Okręgu Pomorskiego, mieszka obecnie na Śląsku. Jest kierownikiem Hall Parkowej w Katowicach.

osobowych grup, całego zespołu. Taniec na najwyższym, chyba doskonałym poziomie. Nie obrażając nikogo — ostatni tancerz z moskiewskiego zespołu byłby ozdobą niejednej sceny jako solista. Jako jeden z 5 tysięcy widzów śledziłem z wszystkim z zapartym oddechem i tego wieczoru zrozumiałem, że słysząc od wielu lat zachwyty nad poziomem radzieckiego baletu nie mają w sobie ani krzty przesady czy grzeźności wobec gospodarzy. Wrażenie to ugruntuowało się później w leningradzkim Teatrze Wielkim na balecie „Perla”.

Następnego dnia po południu spotykamy się we trójkę przy dużej butelczynach armeńskiego koniaku — Igor Postupański, mój kolega z Warszawy i ja. Nazwisko Postupańskiego — radzieckiego literata — znamie jest od lat czytelnikom „Kamenu”, „Kultury”, „Twórczości” czy „Życia Literackiego”. Dotychczas znałymi się tylko na odległość, teraz siedzący obok siebie. Niskiego wzrostu, krępy, ma lat ok. 50. Wiem z redakcyjnej pracy, że doskonale, bezbłędnie pisze po polsku — natomiast mówi z niejaką trudnością, czasem przez kilka sekund szuka potrzebnego słowa. Co za przedziwna mieszanina: urodził się w Polsce, ale od dzieciństwa wychował w ZSRR. Jego matka jest Skandynawką, żona Indonezyjką, sam do szkiełko kości czuje się Rosjaninem. Zna 3 języków, z kolei zabiera się do hiszpańskiego.

guni — ser krowi, smażony jak nasze placki kartoflane.
Nagle przy sąsiednim stole coś przeciągłe zadzwierczało. W powietrzu zamigotało kilka najprawdziwszych sztyletów, każdy długości ponad pół metra. To kelner szarpał z nich szaszłyki. Patrzymy z przerażeniem — każdemu dostaje się długi półmisek, do tego frytki nieco grubsze od włoski. Czujemy, że nie zdolamy uratować reputacji polskich żoładków. Szaszłyk, u nas na ogół lykowały i niezbyt pięknie pachnący, tu jest kruchym, wspaniale przyróżonym smakołykiem. Ale w tej chwili wstaje nasz gospodarz i oznajmia po polsku:
— Ja jestem tamada!

Potem już po rosyjsku tłumaczy, że to coś w rodzaju wodzireja przy stole. Wygłasza piękny, pełen serdeczności i niekłamanej przyjaźni toast na naszą cześć, na zdrowie naszych bliskich, współpracowników redakcji. Polski. Z dużych kielichów wychylamy gruzińskie wino. Ale tu kończy się obyczaj europejski — zaczyna gruziński. Tamada wydobywa z teczek 11 naczyń z czarnej gliny — coś w rodzaju kaczki z długą szyją i rączką do trzymania. Teraz tamada wygłasza toast do kierownika naszej grupy. Wszyscy muszą siedzieć, tylko kierownik stoi. Po skończeniu życzeń tamada, nie odrywając naczynia od ust, wychyla pełne naczynie wina. Po powrocie do kraju zmierze, że jest to ćwierć litra. Na znak, że wypił wszystko, przechyla naczynie nad paznokieć dużego palca. Może

Pałac — od wiejkiej tafli szkała, z których jest zbudowany. Tuż przed wejściem nawet zachnąłem się — bo a nuż azurowy dach i te obrzynie tafie zawała mi się na głowę? Odwaga została nagrodzona w kawiarni butelkami miejscowego szampana, białego i czerwonego, przegrzanego po gruzińsku czekoladą i soczystymi mandarynkami z pobliskiego sadu. Następnego dnia wróciliśmy na górę Dawida (Wyzwolicielea — historycznego cara Gruzji), aby w pełni słońca podziwiać panoramę najpiękniejszego podobno miasta w ZSRR. Zjechalibyśmy na dół tramwajem linowym — Edik był niepokieszony, że po setkach serpentyn nad urwiskami musiał zjechać sam. My w połowie drogi wysiedliśmy, aby zwiedzić starą cerkiewkę, która jest swego rodzaju Pantheonem Gruzji. Tu leżą prochy Grubojedowa i kilkudziesięciu zasłużonych dla tego kraju ludzi. Jest także starannie pielęgnowany grób Katarzyny Dzugaszwilli.

Ostatni etap naszej przyjacielskiej wędrowni prowadził do Armenii. W Erywaniu zwiedzamy muzeum, w którym na honorowym miejscu, tuż przy wejściu, obok odrębnego pisma Napoleona wisiał polski list imię pani dobrodziejki Konstancji z Truskulus na Bohoradzanach z Tyśmienicy Potockiej, podskarżyny nadwornej koronnej, oglądaliśmy raczej brzydki budynek radiostacji, o której i na miejscu i w Moskwie słyszeliśmy wiele doskonałych anegdot, zadziwiających nas domy, budowane z czerwonych tufów wulkanicznych, robimy wypad do odległego o 100 km Siewania, gdzie zwiedzamy jedyną w świecie elektrownię wodną, pracującą w halach, wykutych w skałe 120 m poniżej poziomu ulic...

Ale największe wrażenie zrobił na mnie dwa wypadu w głąb Kaukazu. Podczas gdy nasze „Wołgi” szybko sunęły asfaltowanymi drogami, podziwialiśmy wspaniałą panoramę gór, pokrytych teraz grubą warstwą śniegu. Za każdym zakretem nowy, coraz wspanialszy widok. Gdziekolwiek jesteśmy, na horyzoncie zawsze znajduje się potężny, wysoki masyw Dużego Araratu. Ten Mały Ararat czasem znika — Duży towarzyszy nam przez całe trzy dni, jakby przypominając bibliijną opowieść o naszym praojcu, który po potopie tu właśnie miał wylądować.

Może jest w tym coś prawdy. Może to właśnie on wylądował w skałe koło Garni, dawnej rezydencji carów armeńskich, niedostępną od ładu pieczarę, gdzie potem żyła legendarna, bezimienna poetka, od której wzięła początek armeńska pieśń ludowa? Praojciec Noe lubił, jak wiemy, wino i może to on pierwszy posadził tu krzak winorośli, który na tej nagiej, dzikiej skałe nie tylko rośnie, ale i daje przepyszne owoce, z których robi się najprzedniejszy trunk?

Nasz przewodnik, Sandro, nie jest tego pewien. Może to było — powiada — w Ajriwanu? Jedziemy więc kilkadziesiąt kilometrów dalej. Ostatnie kilkadziesiąt metrów musimy przejść — w zeszłym roku na drogę zwałiło się 15 tysięcy ton zwierzęcej skały. Poza leżącą masą kamienia monaster, zbudowany w IV wieku. Cerkiew piętrowa: parterowa zbudowana, piętrowa wykuta w skałe. Podobnie jak cele dawnych mnichów. Pomiędzy monastylem a Dużym Araratem, który leży już w Turcji, w odległości 50 km od nas, a wydaje się być tuż przed nosem — wyrasta ostroskała iglica. Gdzieś przed samym szczytem trzy otwory — duże to drzwi, dwa małe to okienka. Historycy powiedzą, że piętnaście wieków temu mniisi wjeżli tu tych, którzy nie chcieli przyjąć chrztu. Sandro powiada, że według legendy tam właśnie zamieszkał Noe. Nie wiem — żartuje czy przekazuje ową legendę. Jeżeli to była prawda, Noe musiał być doskonałym alpinistą. Mimo kilkakrotnych propozycji zrezygnowaliśmy z próby nąśadowania — naszego praprzodka, ograniczając się do tradycyjnego zawiązania sznurowadła na jakimś krzaku, upstrzonym już tysiącami tasemek i różnych szmatek. Na własne szczęście i na wzajemną życzliwość — jak powiada Sandro.

Jeszcze słówko o Dużym Araracie. Loży historii sprawiły, że dziś góra ta należy do Turcji. Przed kilku laty pewien arcybogaty Ormianin, żyjący w Stanach Zjednoczonych, zaczął pertraktować z rządem tureckim o kupno całego masywu. Cena była nawet nieproporcjonalnie przystępna — kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Gdy jednak Turcja dowiedziała się, że ów Ormianin zamierza górę podarować Republice Armeńskiej — oferte natychmiast odrzucono. Stoi więc Ararat dostojnie i groźny, spoglądając jednym szczytem w stronę Morza Czarnego, a drugim w stronę Morza Kaspijskiego — oba przecież są świadectwem tego, że potop rzeczywiście nawiedził tę część Azji.

Tak przynajmniej mówił zawsze poważny Sandro i wiecznie uśmiechnięty Edik. Tamada przestornie milczał.

Z poezji gruzińskiej i ormiańskiej

JÓZEF NONESZWILI
(Gruz. ur. 1920)

SPOTKANIE

Mulkowoi Radz Anandy

Nad nami się chwiałą
banany Bengalu
i nieba pas ogniem bengalskim się złościł.
Jechaliśmy.
Mknęły dymiące się dale
i w ziemi oddechu nie było wilgoci.
O wodę cię proszę.
Spragniony-m jak ziemia.
„Przepraszam cię, druhu,
winogron tu nie ma,
bym ciebie jak w Gruzji
mógł winem przywitać”.
I dłoń twa kokosu mi miękisz złamała
i chłód jego mleka mi wonią przyjemnie.
Zanurzam swe usta
w wilgoci wspaniałej
i czuję,
jak szelest drzew przemknął przeze mnie.
I czuję nie mleka,
bengalskiej smak rosy,
i to już nie kokos —
lecz świętych wód strumień.
Na wieki złączyły nas czasy kokosu
i Hindus z Gruzinem już są przyjaciółmi.
Marzenie, gdy piję,
uskrzydla mi duszę —
spotkamy się jeszcze jak braćia w rodzinie.
Choć Kазbek
nie zdola się zejść z Hindukuszem,
człek spotka się z człkiem
gdzieś w jakiejś krainie.

I oś ty z nami.
Wśród wrzawy i krzyków
witają moskwianie przybysza z Kalkuty.
I słyszę —
jak w dumnym Tagora języku
„Braterstwo i pokój!”
radosne brzmiały nuty.
Jak bratu swojemu dłoń mocno ci ścisłam.
Chodź ze mną —
pokażę ci kraj swej miłości.
Pójdźmy ścieżkami
przez górskie urwiska,
gruzińskie drzwi tobie otworzą na rozleż.
Pokażę ci gaje wyniosłe i ciche
i źródła szmerzące,
gdzie potok się rodzi.
Przed Gorli fortecą
wniesiemy kielichy
i z Morza Czarnego
wiatr skroń ci ochłodzi.
W spóźnielezych wsi naszych się wsluchaj odgłosy
i spójrz
na kwitnącą dokola krainę.
Przepraszam cię druhu,
nie mamy kokosu
i muszę jak w Gruzji
przywitać cię winem.

WAAN TERIAN
(Orm. 1885—1920)

* * *

A tam pastuchowie czczą wolność wśród gór
i ogień wzniciwszy zwołują się wzajem.
Ja tutaj wśród nizin, jak wiezien zostaje,
a tam pastuchowie czczą wolność wśród gór.
Wędrownom nikt kąta cichego nie daje.
Jam w czyjeś jest władzy, dłoń pęta mi sznur.
A tam pastuchowie czczą wolność wśród gór
i ogień wzniciwszy zwołują się wzajem.
Dla wszystkich ludów dzień już załśnił nowy,
a nad oceanem po dawnemu noc.
Nad krajem mym wciąż wisł mrok surowy.
O, twórcze siły! Objawcie swą moc!

OWANES SZIRAZ
(Orm. ur. 1914)

* * *

O, jakie jasne jeszcze są twe oczy,
jakie głębokie, czyste i młode.
Widzę w nich tylko wionny swej porowy
i serce moje niby ptak szczęśliwy —
ku tobie leci z błękitu roztoczy:
wszak niebo — kłamstwem, oczy twoje — prawdziwe.
Wśród róż purpurą isniących ty o mnie zapomnił.
Kolec utkwił ci w ręce — zawołał, to przyjdź.
W pogodny dzień słoneczny ty o mnie zapomnił.
Chmury niebo przesłoniły — zawołał, to przyjdź.
Gdziekolwiek w świecie byłbym, poszedł dokądkolwiek,
gdzie tylko że ci będzie — zawołał, to przyjdź.
Spółaczył:
K. A. Jaworski

Od Kopcuszką do Noego

— Przeczytanie Don Kichota w oryginalnie to dopiero będzie uczta — zapewnią.

Podziwiam entuzjazm Postupańskiego, w duchu zazdroścuję mu twórczej energii.

— W mojej bibliotece — mówi — wóród 10 tys. książek ponad 3 tys. to książki polskie. Kupuję, dostaję, wymieniam... Stykam się niemal z każdym literatem polskim, który przyjeżdża do Moskwy. Nie, tak się złożyło, że od czasów niemowlęcych nie byłem w Polsce. Znam z fotografii kawał Waszego kraju, pociąg mnie nie znany z własnej autopsji urok Kazimierza.

W imieniu „Kamenu” zapraszam milego gospodarza do Polski — okazuje się, że takie zaproszenie już od dawna wysłał K. A. Jaworski i otrzymuję zapewnienie, że jeżeli nie w tym, to najdalej w przyszłym roku Postupański przyjedzie, a Lublin będzie jednym z głównych etapów jego podróży po kraju, który tak bardzo kocha, do którego kultury z daleka wniósł swoją cześć, którego jest gorącym oredownikiem w dalekiej Moskwie.

Znajomość, przekształconą później w serdeczną drużbę, z drugim literatem radzieckim zawarłem w hotelu w Tbilisi. Kilka godzin wcześniej zwiedziliśmy szybko siedzibę Związku Literatów Gruzji. Gdy tylko usłyszano Polska — otworzyły się szeroko ramiona, uśmiechnęły serdecznie twarze, zabily żywej serca. Jeszcze nie zdążyłem się całkowicie przedstawić gospodarzom, gdy już mi zaproponowano:
— Wóród 107 dzienników i czasopism, ukazujących się w 4 językach w 800-tysięcznym Tbilisi, jest kilkanaście literackich i kulturalnych. Gdzie tylko możemy — w agencji Nowosti, z polskiej ambasady w Moskwie, przez osobiste znajomości — zdobywamy teksty polskich literatów i publicystów. Bardzo chętnie dokonamy z „Kamenu” wymiany — wy przysyłacie nam materiał na 2 kolumny, a my — wam. Możecie pisać po gruzińsku, rosyjsku, polsku — mamy u nas kilkunastu młodych ludzi, którzy ukończyli studia w Polsce, przetłumacz.

Wieczorem nasza czteroosobowa delegacja dziennikarzy polskich podejmowana była przez sekretarza generalnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Gruzji. W sumie 11 osób. Na stole pojawiają się kolejne koniaki, kawior, sandacz, a potem całe bogactwo kuchni gruzińskiej. Jest więc dziwonożół — coś w rodzaju trawy przyprawionej na słonko, pchali — marynowane w specyficznym sposobie buraczki, cymnata — inny gatunek zieleniny, z wyglądu przypominającej szczaw, którą je się przez całą kolację, maskoll — wspaniały kefir z koziego mleka, chaczapuri — ser toplony w cieście francuskim, które przyniosłoby zaszczyt kuchmistrom Paryża, suł-

wylać się tylko jedna kropla, którą też trzeba wypić. Toasty spełniamy wszyscy — z wyjątkiem naszego szefa. Tamada przekazuje alawerdi (coś w rodzaju symbolicznego berła) naszemu kierownikowi, który z kolei piję toast na cześć następnego — sam wychylając czarę i jemu przekazując alawerdi. I w ten sposób toasty mogą krążyć tak długo, jak wytrzymają głowy. A magazyny doskonałych win gruzińskich wydają się bezdenne...

Na całe szczęście gdzieś po czwartym okrążeniu do stołu przysiadają się ktoś nowy. Niski blondyn stara się nie zwrócić na siebie uwagi. Ale nasz tamada ma nową okazję do kolejki toastów. Oto Józef Noneszwili — najgłośniejszy poeta Gruzji, syn najlepszego poety poprzedniego pokolenia. Przybysz bezradnie macha rękami, ale tamada jest uparty. Cytuje z pamięci jego wiersze, mówi o jego czynnej pracy w Związku Literatów, w przyredagowaniu największego pisma literackiego, Noneszwili zatyka uszy i podsłucha mi kartkę, na której widnieje — moje nazwisko.

— Dlaczego nasze pisma mają wymienić tylko dwie strony? — dziwi się szczerze. — My chętnie poświęcimy cały numer, Polska jest w Gruzji bardzo popularna, a i u was ukazała się ostatnio antologia naszej poezji. Zapraszamy serdecznie każdego, kto tylko zechce do nas przyjechać...

Na potwierdzenie tego Noneszwili wraz z tamadą zapraszają nas do Kryształowego Pałacu. Mikrobus nie bez trudu drapie się po stromym, niekończącym się serpentynie. Kierowca Edik jest prawdziwym wirtuozem kierownicy — przyznajemy szczerze u celu, chociaż po drodze bardzo podejrzliwie patrzyliśmy na własne i cudze ramiona, czy nie siedzą na nich zastrachane dusze...

Z kamiennego tarasu poimy oczy wspaniałym widokiem tysięcy światła, rozlanych szeroką rzeką kilkadziesiąt metrów niżej. Tbilisi leży w nioce pomiędzy wysokimi pasmami wzgórz. Rozciągnęło się więc aż na 30 km, co w rezultacie stworzyło poważne problemy dla komunikacji, transportu, wodociągów. Ostatnio, na przekór przyrodzie, zaczęto miasto poszerzać. Po prostu ulice, które kończyły się pod stromymi ścianami gór, przedłuża się tunelemi na drugą stronę góry i w następnej nioce zaczyna powstawać nowa dzielnica gruzińskiej stolicy. Taka koncepcja urbanistyczna jest chyba unikatem w skali światowej. Kosztowna, niezwykle trudna w realizacji, ale w konkretnych warunkach chyba jedyna.

Na końcu tarasu wysoki maszt miejscowej telestacji, a obok budynek dworca kolejki linowej, którą można zjechać nie tylko w dół, ale i dalej na drugą stronę rzeki Kury. Za plecami ów Kryształowy

TERMOSY Z LUBARTOWA W 1961 roku spadła decyzja o modernizacji starej huty szkła w Lubartowie (woj. lubelskie). Obecnie huta wytwarza butelki do termosów... których w ciągu roku wyprodukowanych zostanie około 2 milionów. (Z prasy)

SIEDZIMY z Furtakiem w jego gabinecie w dziś jeszcze eleganckiej choć zaniedbanej willi byłego właściciela huty — Hall-bezberga i czekamy, kiedy odezwie się Swidnik. Rozmowa zamówiona dawną, a telefon milczy. Furtak siedzi bokiem, nogi podkulił pod krzesło (młody, trzydziestoparoletni chyba?) kanciasty trochę, ale i prawdopodobnie zawsze opanowany; dyskutuje z wysokim facetem, który wtargnął przed chwilą przyniesione, że kompresor nawalił. „Ale już go naprawiają i raz dwa wszystko będzie w porządku” — dodał zaraz, kiedy mnie dostrzegł. Jest jeszcze w gabinecie starszy mężczyzna o pomarszczonej twarzy, tylko ten właściwie nie bierze udziału w rozmowie. Usiadł obok biurka pod oknem, grubej kurtki nie zdejmując. Od czasu do czasu podpowie jakiś fachowy termin. Brygadysta? Kierownik produkcji?

Biją na mnie psy, bo w piecach napalono niby w tęgie mrozy, gdy tymczasem za oknami piękna pogoda, kilkanaście stopni powyżej zera, a cała „Huta Szkła — Lubartów” lśni w wiosennym słońcu świeżymi tynkami — jak nowa. Na pozostałych osobach upał nie robi najmniejszego wrażenia. Co to jest w porównaniu z żarem, jaki panuje w głównej hali produkcyjnej, wokół „wanny” wypełnionej rozżarzoną do białości płynną szklaną masą?

Sama hala piętrzy się naprzeciw willi, zaraz za ogródkiem i za niskimi pryzmami węgla. Czerwona, ze stromym dachem i wielkimi oknami. Nad halą wznosi się wysoki komin. Kiedy się jedzie z Lublina, widać go już prawie od samego Trzcianca, a od zakrętu we wsi Łucka panuje już nad całym horyzontem. Potem wyrastają płaskie dachy nowo wzniesionych budynków i ciężka bryła starego domu mieszkalnego, który nazywają tutaj po prostu „kamienicą”. Stołi ona wzdłuż szosy lubelskiej, piętrowa, z dachem upstrzonym lichymi falcjatkami. Pierwotnie służyła jako magazyn, potem (jeszcze prywatny) właściciel przerobił ją na mieszkania dla robotników.

Przyjechałem do huty widząc o jej modernizacji, o ostatniej prze-

budowie, przestawieniu się na nową produkcję. Idąc od przystanku autobusowego zdawałem sobie sprawę, że w hali produkcyjnej pracują nowe, belgijskie maszyny, i że modernizacja huty kosztowała ponad 16 milionów złotych. Te maszyny ciekawie mnie, jak zresztą i sama produkcja termosów, dzięki której zaczęto o hucie mówić w kraju. Jednak nie dochodząc do głównej bramy skreśliłem w prawo i wszedłem do długiej ciemnej sieni, prowadzącej w głąb „kamienicy”.

to? — tylko wiosną, kiedy roztopi jest aż takie błoto. Wiedziałem, że to racja i w duchu przynajmniej mu słuszność, ale także pomyślałem, iż właściwie nie by nie stało na przeszkodzie, żeby takie podwórko wybetonować, albo zrobić trawniki i postawić lawki. Dlaczego ani kierownictwo, ani sami mieszkańcy nigdy o tym nie pomyśleli?

Ciągle brak połączenia ze Swidnikiem. Właściwie dowiedziałem się już wszystkiego o hucie, porobiłem notatki i siedzę tylko z prostej

mięso. Nie było potrzeba skomplikowanych maszyn, wystarczyło mieć zdrowy „dech”. Po upaństwowieniu lubartowska huta nie miała szczęścia znaleźć się wśród fabryk, które zostały poddane modernizacji. Przez ostatnie dwadzieścia lat lubartowscy hutnicy dmuchali tak samo, jak dwadzieścia lat przedtem.

I na nic tutaj dojść do absolutnej perfekcji, skoro w innych hutach używano do produkcji automatów. Jeden nowoczesny automat produkuje na dobę trzydzieści tysięcy butelek. W tym samym cza-

go w Sosnowcu. Po dokonanej przez niego ilustracji postanowiono w „centrali” przestawić hutę na produkcję... szkieł do lamp naftowych. Zjednoczenie wyasygnowało na ten cel 2 i pół miliona złotych. Kto pierwszy zorientował się w bezradności planowanego przedsięwzięcia? Trudno teraz odpowiedzieć. W każdym razie bezsens produkcji szkieł naftowych w dobie lamp telewizyjnych był tak rzadki, że zanim jeszcze wydano pieniądze przeznaczone (i zresztą absolutnie niewystarczające) na kupno odpowiedniego sprzętu huta już zaczęła wyprzedawać pierwsze partie zakupionego materiału.

Na początku 1963 roku sytuacja huty była wciąż taka sama. Produkcja nadal butelki, roczna wartość produkcji wynosiła około 8 milionów złotych. Wtedy w sprawie wdał się Komitet Powiatowy PZPR w Lubartowie. W kwietniu pierwszy sekretarz Jasifski zwołał wielką naradę poświęconą rozwiązaniu problemu „Huty — Lubartów”. Atmosfera była podobno gorąca i twórcza. Między innymi projektami wysunięto chyba najbardziej racjonalny: hutę trzeba przestawić na produkcję termosów. Produkcja taka opiera się na półautomatyzacji, w pierwszych okresach potrzebna jest umiejętność zblizona do tej, jaką już posiadali lubartowscy hutnicy. Otwierają się również możliwości eksportu.

No i w 1963 roku wykonano założenia inwestycyjne, na wiosnę następnego roku na teren huty wprowadził się wykonawca — „Szkło-Budowa”. Wartość rocznej produkcji zmodernizowanej huty miała wzrosnąć o 800 do sześćdziesięciu milionów. Niemal dwukrotnie miała powiększyć się zaloga. A na inwestycje przeznaczono sześćdziesiąt i pół miliona — miały się one zwrócić w ciągu dwóch lat od chwili rozpoczęcia produkcji.

Część załogi poszła na przeszkolenie do innych hut, część pracowała przy wznoszeniu nowych obiektów i przebudowie starych. Wybudowano termosownię łącznie z częścią magazynową, wzniesiono część magazynów wyrobów gotowych magazyn gazów technicznych, kotłownię; dokonano adaptacji hali produkcyjnej i pomieszczeń laboratorium zakładowego. Wokół starych, przedwojennych budynków wyrosły lekkie, pełne światła pawilony.

We wrześniu 1965 r. zaczęła pracować w starej hali nowa „wanna”.

(Dokończenie na str. 11)

Ko-operacja »Termos« MIROSLAW DERECKI

Na klatce schodowej bawili się dzieci. Schody nie miały balustrady. Zastępował ją rodzaj płatu z desek różnej grubości i długości. Sień wychodziła na podwórko — wielki prostokąt błotnisty topieli. W kącie podwórka hałda śmieci i murywany ogólny ustęp, do którego można się dostać po rzuconych w rozmiętą ziemię ceglach. Na balkonach suszyła się bielizna, naprzeciwko, za oknami hali, syczały palniki. Przypominały mi się włoskie filmy. Zawróciłem do sieni, a potem poszedłem ku głównej bramie.

Podczas całej kilkogodzinnej rozmowy nie wspominałem kierownikowi Furtakowi o „kamienicy”. Wiedziałem, że przynęca mi racją, ale odpowie, że są przecież ważniejsze sprawy i że trzeba było najpierw ratować hutę przed likwidacją, pomyśleć o pracy dla ludzi... A mieszkania — oczywiście, ale przede wszystkim huta, zresztą możemy zajrzeć do mieszkań, w których nie ma znowu tak koszmarnych warunków, choć po prawdzie budynku nie opłaca się już remontować, bo stropy drewniane. A blo-

ciękawości, jaki będzie wynik rozmowy z tamtejszą spółdzielnią. Mógłbym zadzwonić jutro do Furtaka, ale już się wciągnąłem w tę całą historię. A sprawa przedstawia się następująco: istnieje duża szansa na to, że spółdzielnia ze Swidnika zgodzi się na kooperację z lubartowską hutą szkła w produkcji termosów. Ale znowu nie wiadomo, czy Swidnik dysponuje odpowiednią ilością surowca... Słowem sytuacja jest niewesoła — huta przestawisz się po wielu wysiłkach na nową produkcję, która ma ją uratować przed likwidacją, może się tą produkcją... udla-

Huta szkła w Lubartowie produkowała od wielu lat jeden asortyment: butelki. Jak wiele podobnych średniej wielkości fabryczek, opierała się głównie na produkcji nie zmechanizowanej. „Klasa robotnicza” Lubartowa, to było przed wojną tych kilkuset, czy kilkudziesięciu hutników. Naberzając ze stojącej na środku hali „wanny” roztopioną masę szklaną, wydmuchiwali butelki. Wszystko stało na pograniczu dość prymitywnego rze-

szania, a produkcja termosów była najwyżej dwadzieścia tysięcy. Komentarze zbiteczne.

Na początku lat sześćdziesiątych zaczęło się dość głośno mówić o likwidacji małych, nierentownych zakładów. Między innymi wyrok zaważył i nad „archaiczną” hutą w Lubartowie. Ale dla samego Lubartowa huta stanowiła poważny obiekt przemysłowy dający zatrudnienie prawie dwustu osobom. Zresztą, co począć z iluś tam niepotrzebnymi nagle fachowcami, którzy posiadają tutaj rodziny, nieraz własne domki? Emigracja? Przekwalifikowanie?

Obecny kierownik huty, Zdzisław Furtak (pracował jeszcze wówczas w administracji zakładu), był jednym z tych, którzy zaczęli energicznie zabiegać wokół uwolnienia fabryki, przestawienia jej na rentowniejszy, a jednak zbliżony do obecnego rodzaj produkcji. Zdawało sobie sprawę, że uzyskanie wielkich nakładów inwestycyjnych jest raczej niemożliwe. Trzeba więc tak kombinować, żeby małym kosztem dużo zmienić. W 1962 roku zciągnęli dyrektora Bieńczyka ze Zjednoczenia Przemysłu Szklarskie-

KARTKI Z BIAŁO-STOCKIEJ PÓŁNOCY

EDMUND REDLIŃSKI

ZADRZELISMY: z kuchni doleciały odgłosy skwierzenia. Z chwilę gospodyni postawiła na stole miszkę ociekających tłuszczem skwar. Żołądki skurczyły nam się gwałtownie. Było to piąte z rzędu śniadanie podczas naszej — Zbyszka i mojej — narciarskiej wędrowki po białostockiej Północy i po raz piąty gospodarze aplikowali nam skwarki ze zbożową kawą.

Wędrowka trwała 9 dni. Ale na śniadanie tylko raz — w Baniach Mazurskich — dostaliśmy mleko. Zresztą było słodkawo-mde, widocznie od zapuszczonej (przed ocieceniem) krowy. Podstawą wiejskiej kuchni w tym rejonie są wciąż cebrzyki z zasoloną słoniną i mięsem, beczka kwaszonej kapusty, kartofle „w sklepiku” i cebula w pęczkach, wiszących pod sufitem. Ani razu nie dostrzegliśmy śladu marchwi, pietruszki, owoców. W Zytkiejmach dwie skrzynki cytryn stały przez kilka dni, jedynę pół kilograma kupiła nauczycielka. To, co nazywamy racjonalnym żywieniem, na białostockiej wyl jeszcze nie istnieje. Przynajmniej jeżeli chodzi o ludzi, bo zwierzęta są karmione coraz nowocześnie. Jabłka je się dopóki wiszą na drzewach, ogórki i pomidory, gdy są w

ogrodzie, grzyby tylko na wigilę, jagody, gdy rosą w lesie.

Bardzo powszechnym na Suwalszczyźnie urządzeniem domu jest murek. To wykonana z cegieł i kafli przybudówka o kształcie ławy, połączona przez wodami kominowymi z piecem. Służy do przesładzania i leżania w ciepło. Dla wszystkich wieczorami, dla dzieci także w dzień. Tylko raz spotkałimy chłopów na nartach. Były „swojej roboty”. Dla wygięcia czubów jesionowe, osikowe lub brzożowe deski chłopcy zmiękczają we wrzątku. Fabryczne narty prawie nieznanne. W Puńsku dzieciarnia odwróciła się plecami do samochodu „Opel”, aby przyjrzeć się naszym „Klimczokom”.

Dlaczego zima tych dzieci jest taka pusta? Pewnie, że na wsi praca fizyczna w pewnym stopniu zastępuje potrzebę sportu. Ale to nie wszystko. Na ogół rodzice uważają jazdę na nartach lub sankach za darcie butów, marnowanie czasu, rozpustę. A już dziewczęta nigdy nie zakładają nart, latem nie chodzą nad rzekę, aby pograć w siatkówkę lub koszykówkę. Również chłopcom po dwudziestce, a zwłaszcza po odbyciu służby wojskowej, nie uchodzi zajmować się sportem. W Smolinikach, gdzie wyniosłość dorównują Górom Świętokrzyskim, zimą uczniowie uprawiają taką gimnastykę: na „raz” — lewa ręka w bok, na „dwa” — prawa ręka w bok. A w nowej szkole jest wspaniała sala gimnastyczna. Ale lekcje wychowania fizycznego prowadzi, zdaje się, polonista.

W tej samej szkole chemii uczy 20-letnia panna Halina. Mieszka w pobliżu szkoły.

— Panie — nachyla się ku mnie siedemdziesięcioletni gospodarz — co to takiego chemia?

Zbyszek pyta pannę Halinę, co robi po lekcjach.

— A co mam robić? Baterijne radio nie działa, nigdzie nie mogę dostać baterii. Czytam książki, rozmawiam z gospodynią. Kontakty towarzyskie? Czasem w soboty jadę do Suwałk. Moje

koleżanki z sąsiednich szkół powychodziły za mąż — za traktorzystów, sklepowych, rolników. Jedna za lekarza.

W Dubenikach 23-letnia dziewczyna mówi nam, że jest starszą panną. Nie ma z kim tańczyć, na zabawach królują smarkaczki między 15 a 20 rokiem życia. Po wojsku rzadko kto wraca do wsi. Jeżeli panna nie wyjdzie za mąż przed dwudziestym rokiem życia, to już „kaplica”. Starszy więc mają ciągły kłopot: jak pozbyć się córek. Kiedyś do wsi przyjechali monterzy. Trzynastoletniej Зофе spodobał się brunet z wąsikami. Matce jeszcze bardziej. Pewnego wieczoru odprowadził dziewczynkę do domu. Stoja pod oknem, rozmawiają. Okno się otwiera, wygląda matka.

— Panie inżynierze, szkoda w taką noc nogi mrozić... I monter został na noc. Rankiem matka pyta o zapowiedzi. Monter w locie chwycił spodnie i tyle go widziano. Ale matka pojechała do przedsiębiorstwa, znalazła tego z wąsikami i potrafiła doprowadzić go do ołtarza, bo dziewczynka była już w zaawansowanej ciąży. Monter zaczął gospodarzyć, a wkrótce został ojcem bliźniaków.

— Jeżeli pójde na zabawę, muszę tańczyć z takim siedemnastolatkiem — zwierza się inna. — Gdy jest po butelce wina potrafi kopnąć w tyłek przy całej sali. O, do Goldapi pojechał na dancing, to co innego. Inna kultura...

W Goldapi dansingi odbywają się w „Dwojce” czyli w morderni. Na pierwszym piętrze mieści się kawiarenka, oferująca wodki gatunkowe. „Lokciowa” czyli bar, reprezentuje niższy standard: piwo lub czysta wódka, śledź. Te przybytki nadają ton nie tylko nocnemu życiu w Goldapi. Kino wiadomo: bierna obserwacja, przygoda bez kiwnięcia palcem. Klubik zawojsowała młodzież szkolna. Jedna mała salka z trudem mieści 30 osób. Drugą załata podwórkowa woda.

Inaczej w Szypliszkach. W GS-owskiej kawiarence na pię-

trze niesamowity ścisk. Przed telewizorem co najmniej dwa razy tyle, ile normalnych miejsc. Oglądali „Tragedię optymistyczną”. W kółkach, fufajkach i płaszczach z laminatów. W drugiej, mniejszej salce debatowała rada klubu. Nad czym — wyjaśnił Leszek, przewodniczący rady:

— Ustaliliśmy program na każdy dzień tygodnia. Wie pan — tak trochę dla picu. I tak wiadomo, że ani kółka dramatycznego, ani spotkań z pisarzami nie będzie. Ale od jakości programu zależy dotacja. W praktyce pozostaje prasa i telewizor. niewiele — co?

A jednak i to dużo. Od dwóch miesięcy, gdy założono klub, w sąsiednim barze zwolna zmniejsza się dzienny utarg. A połowa to wpływ ze sprzedaży alkoholu. Chodziło się o tego baru nie tyle z umiłowania alkoholu, ile dlatego, że wierzcie po prostu nie było gdzie pójść. A mimo to oceny są różne.

— Szypliszki? Dziura na końcu świata — stwierdza Kazik, świeżo upieczony technik. Odobnień staż i chodu.

— A co w Suwałkach?

— To samo: klub, wódka, brydż i bakki. Ale w większej ilości. A moc wybierać to już wolność — dodaje sentencjonalnie.

A lekarz weterynarii ma inne kłopoty.

— Komedie, panie — mówi, uderzając pięścią w stół.

Jak w całym kraju konie mają ustąpić traktorom. Więc regulamencie się rozmnażanie. Biedaczyna ogier, sam jeden na całą gromadę, pracuje trzy razy więcej niż powinien. Chłopci płacą kilka razy „żeby tylko coś było”, lub nielegalnie używają rocznych „kiziaków” (przed ustawową kastracją). A traktory potykają się na kamienistych polach, maszyny często psują się. W szczytowym okresie żniwa, orek czy siewów możliwości kółka rolnicze okazują się mocno niewystarczające i bez konia ani rusz. No i stara, wyeksploatowana chabeta kosztuje 7 tysięcy

złotych. Niedawno przedstawiciel włoskiej firmy kupił w Szypliszkach 30 najładniejszych koni, placąc po 20 tysięcy.

Wieczorem siłownik położono nam obok pieca. Gospodarz zgasił lampę i słycał, jak gramoli się przez żonę bliżej pieca.

— Znowu nie zasną — szepce kobieta. — Ta Jagłowska stoi mi w oczach. A jak zasną to mi się śni.

Jagłowska jest postacią z książki Omiljanowicza. Gdy nazywają chcemy placić za nocleg i posiłki, gospodarz powiada:

— Nie trzeba. Wy z miasta, tam są sklepy, kupcie nam jakie książki i przysyłajcie.

— Książki?... O czym?

— O wojnie.

— Albo o hrabiach — dorzuca żona.

Córka gospodarza uczy się w Suwałkach. Co sobotę przyjeżdża do domu z książką. W niedzielę czyta na głos. Słuchają ojciec, matka, babcia, siostra i sąsiedzi. Niedawno poznali „Paną Włodzykowskiego”, przedwczoraj „Było to nad Czarną Hańczą” A. Omiljanowicza. Wzruszające? Banalne? Głosuję za medalem dla uczennicy.

W Łysogórze koło Zytkiej miuszka S. To już Ziemia Odzyskana. Przybył tu w 1950 r. spod Włajz. Zaledwie 10 kilometrów stał, ale to już po drugiej stronie starej granicy. Do swoich jeździ na jarmark i odpusty, sam z tych samych okazji przyjmuje ich u siebie. Integracja? Osadnicy żyli się już ze sobą i z miejscowymi, pomagając sobie po sąsiedzku, pożyczając. Żenią synów i córki, zapraszają na wesela i chrzciny. W polonijnych domach dobudowano suwalskie murki.

Podczas naszej wędrowki widzieliśmy mnóstwo pięknie odremontowanych po polsku stodoł i obór. A także nowe budynki z żółtej cegły lub pustaków. W samych Zytkiejmach do 1960 r. nikt nie zwrócił się do władz o zerwolenie na budowę. W 1961 r. wydano trzy pierwsze zerwolenia. W 1964 r. już trzydzieści.

ŚWIAT W KOLOROWYCH PROSTOKĄTACH



Fot. A. Polakowski

FAKTURA papierowego prostokąta do złudzenia przypomina aksamit. Puszysta czerń tła zdecydowanie kontrastuje ze złotym owadem. Albo odwrotnie: błyszczącą złotem powierzchnię przecinają czarne kontury wielkiej wazki.

Inne prostokąty pokrywa cienka warstwa srebrnej farby, której chłód jeszcze bardziej wysmukla akty kobiece. To wszystko dla koneserów o zainteresowaniach artystycznych.

Są także serie o walorach poznawczych i dydaktycznych. Starsze przedstawiają podobizny austriackiej rodziny cesarskiej, dzięki nowszym poznajemy premierów i prezydentów państw afrykańskich i europejskich, aktorów filmowych, sportowców, wielkich pisarzy oraz sztab generała Kutuzowa. Historię rozwoju motoryzacji, chyba najbardziej pełną, wydrukowali Belgowie. Maski stosowane w teatrze wschodnim popularyzują serie chińskie, a zabytki architektury budapeszteńskiej — piękne etykiety węgierskie. Zresztą Węgrzy, z którymi jakos nie wiążemy tej cechy, dali się poznać jako zresztą handlowcy: potrafią jeden motyw wydrukować w dwudziestu kolorach.

Piękne dzieła sztuki graficznej obok prostych motywów na taniej farbie, standardowe kształty prostopadłościowych w pobliżu okrągłych pudełek włoskich — w sumie ponad 30 tys. etykietek zapalczanych w kilkudziesięciu albumach tematyk (i kilkanaście ciekawych pudełek), które zgromadził w ciągu kilku lat Tadeusz Jankowski, pracownik lubelskiego Teatru Lalki i Aktora, postać szeroko znana w światku filumenistów, entuzjasta prowadzący korespondencję i wymieniane z kolekcjonerami z Czechosłowacji, Niemiec, Indii, Związku Radzieckiego, Holandii, Francji...

Miał już wiele wystaw w Lublinie i innych miastach Polski. Zaproszono go też do udziału w wielkiej ekspozycji w Holandii, otrzymał wiele dyplomów i wyróżnień.

— Oczywiście, ciętą mnie te do wody uznania, niepokoi jednak fakt, że w Polsce filumenistyka jest ruchem elitarnym. A przecież etykietyki zapalczane, tak różnorodne i bogate pod względem estetycznym i tematycznym są znakomitym środkiem dydaktycznym i uzupełnieniem wiedzy o świecie. Stąd właśnie konieczność większej popularyzacji filumenistyki wśród młodzieży. Niestety, za mało się robi w tym kierunku. Nie będzie przesady, jeśli powiem, że na przykład w Czechosłowacji ruch ten jest bardziej popularny od filatelistyki, tam etykietyki zbierają ludzie w wieku 14 i 80 lat. W Polsce istnieje sekcja filumenistyczna przy Związku Polskich Filatelistów, a w wielu krajach hierarchia jest odwrotna. Nie chciałbym być źle zrozumiany: nie występuję przeciwko kolekcyjnicy, co znacząco pocztowych, lecz zwracam tylko uwagę na wartości filumenistyki, często niedoceniane.

Tadeusz Jankowski, nazwany przez prasę krajową „królem etykietek”, wiąże ze swoim hobby walor działalności społecznej. Chyba słusznie.

Korzystając z okazji pytam o historię filumenistyki.

— Jest starsza o kilkanaście lat od filatelistyki. Pierwszą etykietykę przykleił na pudełku zapalek faszystowski drogiasta angielski John Walker w roku 1827; zaopatrzył ją

w napis: „Zapalki, które są w użyciu na dworze Jego Majestatu”. Jak wiadomo, pierwszy znaczek ukazał się dopiero 5 maja 1840 r., także w Anglii.

Polskie fabryki zapalek zaczęły produkcję w 2 połowie XIX w. (Częstochowa, Błonie p. Warszawa, Mszczonów).

Kolekcjonerzy odróżniają kilka typów pudełek zapalczanych: normalne, turystyczne, fajkowe, sztor-mowe, kominkowe, gabinekowe, i książeczkowe, które wprowadził w celach reklamowych amerykański adwokat John Pusey (1892 r.).

Tadeusz Jankowski posiada w swoich zbiorach kilkanaście egzemplarzy unikalnych. A więc etykietyki z „zagubionym” motywem, z portretami Augusta III i Michała Korybuta Wiśniowieckiego, polskie etykietyki z lat okupacji z nadrukiem niemieckim: „Zündholzmonopol im Generalgouvernement”, komplety pierwszych serii wojennego Polskiego Monopoli Zapalczanego, oraz trzy pudełka o proporcjach dziś już nie spotykanych, z fabryk rosyjskiego potentata zapalczanego W. A. Łapszyna, które przypadkowo odnaleziono w czasie rozbiórki pieca we włodawskich koszarach.

Na koniec krótka uwaga: etykietkami się nie handluje, choć zdarza się czasem nabywcy.

— Cóż z tego — mówi Jankowski — ja chcę wymieniać, a nie sprzedawać.

Trudna to sprawa, kiedy największy zbiór w Polsce znajduje się w jego rękach.

W. J.

REJENT I POETA

Niedługo ukaże się w Wydawnictwie Lubelskim tom wspomnień o rejen-tach hrubieszowski i zamojskich i zamojskim Lesmanie i o poecie Hoł-nie i o poecie Hoł-nie...
Kilkunastu autorów ze środowisk literackich, prawniczych i innych wprowadza nas w świat życia, perypetii, anegdot i mniej lub bardziej znanych faktów związanych z postaciami Lesmiana. Tom otwiera dosyć obszernie i utrzymane w stylu swobodnej narracji wspomnienie starszej córki poety. Fragment tego wspomnienia publikujemy poniżej.

MARIA LUDWIKA MAZURKOWA

TERESA GABRYSIEWICZ
wybór

dam ci co mogę ci dać
ambry świtu w sosnowym brzasku
deszcz na ustach
zachwyty nad Dawidem Michelangela
słowy manuskrypt
zadumanie spajęcej ikony
zmrzę zielonych ślepi pogotowia
że może ja że serce
zapach łaki w dłoniach firletki
niespełnione tęsknoty
bezdnoża pokrzyżowane stopami
waganów
pióro drożdza smak burzy i nagle
ośnienia rozpozgodzeń
tarninę gniewu i pęknięty kwiat
przeprosin
niecierpliwość poszukiwań
musiałbyś ze mną biec
gdzie po co
lepiej odejść
ona czeka
taka śliczna taka śliczna
a jeśli zostaniesz to nie dlatego
że płacę.

erotyk z cierniem

Jeszcze pełno mi ciebie
jeszcze w dłoniach czuję
jak gwiazdy rozżarzone
przepalają łątna
a ja też jestem gwiazda
tylko w pół pęknięta
Może kiedyś doznamy
siebie do zenitu
aż druga gwiazda wzejdzie
na ścieżkach wzruszenia
rozjaśnimy światłem
kosmicznego świtu

Tomaszów Mazowiecki

ANDRZEJ ZATORSKI

Samotny świerk

Siadamy u stoku góry
— samotny świerk,
zielona plama wśród bieli
gdzie zatrzymanem wzroku.
Powładają, że stary
— nie bój się starości,
drzewo na zbocz
oddaj ci swój spokój.
Później szpaki swawolnie będą
po igrzyskach stopaich.
Może nie wejdzimy na szczyt,
ale samotne drzewo
zostanie naszym przypomnieniem.

„Ponidzie”

BOGDAN PASTERNAK
Dwa brzegi

Właściwie nie się nie zdarzyło
tylko rzeka stanęła między nami
zielenią dwóch spadlistych brzegów
Słimaczy nurt wody
kruszy wyobrażenia nasze
wykute w słońcu jednego nieba
gdzie chmury białe z błękitem
na przemian się mieszają
Nie będę płakał
i do wody nie rzucę się rozpacznie
przecież ludzie z tęsknoty do siebie
kiedyś podadzą brzegom dłoń
do uścisku.

„Ponidzie”

RYSZARD ZAMOJSKI

Próba syntezy

Z witryn ulicznych
mosiężny najszczęśliwy
o słońcu
kupiono ci naszyjnik
od niego umiesz mrugać oczami
aż dziury w konstelacjach
od ich szarości
wylecą
pocioczywszy się kołami lokomotywy
staniesz w Bełżu
iwarzą do skradzionej ikony
tam modliłty chodzą
z kawałkiem chleba
tylko miłość raz do roku
przynosi tu nazarejski klimat
czasem pojawi się okurzony
ziemią cygan
odłoży pod jesieniem skrzypce
obcy Federico Garcia Lorca
z płonącej jabłoni
zerwie najcudowniejszą wróżbę.

„Ponidzie”

WIEŚLAW KAZANECKI

portret z nagonką

brzegi włosów skłębione
do kłębaka podąża zmierzch
cień kładzie się na wargę
jak ptak do gniazda się wsmukła
by wagę skrzydeł złożyć
jej szale stullę po sobie
przecież ważyć przestała
nawet twarz moja
wytracona z oblicza

Białystok

STANISŁAW RYSZARD KORTYKA
opisać pejzaż

opisać pejzaż
zaczynając od kół
toczących się we własne
roztrzęsienie drogi
w wirowanie światła

opisać niebo
niskim skoszeniem
do puszystości traw
i przez każdy szelest

opisać pola
gdzie popiół przesypaną świeższymi
chichotem jastrzębi
unoszących na szyi żar od ziemi

l wreszcie drzewa
pasące się na własnym szumie
odległe od wiatrów
spętane bezgłośnym powietrzem

od czerwonego obrazu
opisać pejzaż
najbardziej w miejscu
oddalony w lato

Rzeszów

PAWEŁ KAMIŃSKI

szczyćcie

szukam cię w kwiatkach
w świtach i zmierzchach
w muzyce barw
w strofach gwiazd

znajduję
w uśmiechu
dziecka

Sokołów Podlaski

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

* * *

Jeśli jest kroplą rosy
zachowam dla siebie
Utoczona z febrы
roznosi migotliwe światło
Obleczona skórą
zna ciemność
Chłonna jak gąbka
o każdą bliźnią większa
Czasem jest wagą
na której niewymierność
chce strony wyznaczyć
Nazwana przystanią
przejdzie najdłuższą drogę
cierpliwie i święcie

Białystok

NA ŻĄDANIE dziadka ojciec ukończył prawo. Dziadek nasz, Józef, był bardzo despotyczny. Kształcił cię ojca na urzędnika. Nie przywiązywał wagi do jego artystycznych upodobań. Ojciec pragnął kończyć humanistykę. W późniejszych latach sam przeprowadził studia nad językiem. Słowniki, jakie zgromadził w bibliotece, pełne były jego cennych uwag, notowanych ołówkiem na marginesie. Całe godziny spędzał pochylony nad nimi. W ogłeszał, kiedy pisał, dom zalegała kompletna cisza. Chodziło się na palcach i mówiło szeptem. Tak pisał „Łakę” w Hrubieszowie, tak „Nąpój cieniasty” w Zamościu. Siedział na miniaturowym, bujającym fotelu, huśtał się z lekka na nim i szeptem półgłosem. Tworzył. A kiedy wiersz usnuł w myśli był gotów, zasiadał do biurka i utrwał swoim zielonym, wiecznym piórem w grubym zeszyście. Często przekreślał i pisał na nowo. Miał jeszcze jedno pióro, niezdatne do użycia. Na szczęście. Kupiła je matka na paryskiej fuarze i ofiarowała poecie. Było zrobione z jakiejś szklanej masy barwy perłowej. Wewnątrz miast atramentu przelewała się woda. Na tym fotelu, na którym lubił siadać, kiedy tworzył, spędzał ojciec godziny z grubymi tomami słowników. Nie tylko ze słownikami. Studiował polski folklor, starą Warszawę. Z to-mem Chodźki, z Morawskim. Pochy-lony, zaczytany. Takim go pamiętam.

Wielki przetrwał bezsensownymi nocami. Czytał. Pokój był pełen dymu z papierosów. Za fotelem stała biblioteka zrobiona przez hrubieszowskiego stolarza. Projektowała ją matka. Była plecioną. Na wzór plecionych

krzesielek. Na górze miała galerijkę. Składała się z dwóch części spitych wewnątrz hakami. Ażurowe drzwi, wycięte z drzewa, były ozdobione. Nieodmiennie pod oknem — biurko i w Zamościu, i w Warszawie. Wielkie, pełne szuffad zapachanych zeszytami. Brułony w czarnej, ceratowej okładce. Zaginione rękopisy. Nie udało nam się uratować wszystkich i wynieść z płonącego domu. Matka osłabła z rozpacz. Nie była w stanie listka podnieść z ziemi. Przecież płonęła Warszawa. A mimo to przeniosłam pękata walizkę na Rakowiecką do jeszcze nie tkniętego ogniem domu. Stał na przeciwko zaimprovizowanej przez Niemców twardyzy. Tam, na parterze, mieszkała nasza znajoma. Nazwała się Czarnocka. Umieściliśmy rękopisy w jej piwnicy wraz z rulonem obrazów matki i rodzinnymi papierami i fotografiami, złożonymi do tekturowego pudełeczka. Piwnica znajdowała się po prawej stronie od wejścia, o ile nie mylił mnie pamięć, a numer domu chyba że dziesiąty. Jeśli nie zapaliła ich woda, tkwią tam do dziś pod gruzami.

Były to już wydane utwory. Wiele z nich datowało się z czasów paryskich, bo przecież tam częściowo powstał „Sad rozstajny”. Z „Łaki” — „Kół”, „Aniolowie” — w Concar-neau około 1904—1905 roku. Mieszkałi wtedy rodzice w hotelu rodzin-stwa Caradec.

Narodziny „Nąpaju cieniowego” przypały na mniej malownicze to — Zamość. Już w Warszawie zwyk-wał się do napisania i wydania wielkiego tomu poezji. Składać się nań miały niezwykle poematy, czysto filozoficzne treści. Traktujące o życiu i śmierci. Miał je w głowie

całkowicie naszykowane. Należało zasiać do biurka i przelać na papier. Nie zdążył. Tom ten nazwał „Dziękuję leśną”. Nie zdążył nawet zanotować tytułu. Odszedł, jak przystało na poete, tom poezji dzwigiący w zaświaty. Po śmierci ojca matka zebrała rozproszone po zeszytach wiersze, dołączyła do tej szczupłej artystycznej schedy pozostałej po poecie tytuł niepowstałego dzieła i wydała w księgarni Mortkowicza. Pomógł jej w tym zadaniu Alfred Tom, namiętny tłumacz Kellera. Był to szczupły tomik poezji, jak daleki od tego, jaki miał się ukazać w niedalekiej przyszłości.

Wracając do „Łaki”. „Łaka”, prócz paryskiego „Konja”, powstała całkowicie w Hrubieszowie. Pisał ją ojciec jednym tchem. Nie jadł, nie wiedział, co się z nim dzieje. Nieprzytomny, natchniony. Dom zalegała nieczym niezmacona cisza. Słychać było tylko Jego. Jak szeptał, jak tworzył w niewielkim saloniku, tuż przy naszej sypialni. Po napisaniu „Łaki” dostał krwotoku. Kiedy wreszcie „Łaka” ukazała się na półkach księgarskich, ogarnęła go rozpacz. Raptownie wydało mu się, że wiersze są słabe. Matka musiała go pocieszać. A przecież to była „Łaka”.

Hrubieszów doskonale się nada-wał nastrojowi do tego rodzaju twórczych wzlotów mego ojca. Był jakby apoteozą polskiego folkloru. Pachniał wsią, a łąka wdierała mu się w sam bok wielką zatoką, wonia skoszonego siana, podchodząc pod same okna naszego domu. W ogrodzie, naprzeciwko, kwitły wianie. Pachniała czeremcha. A bzy do-

NASI W STOLICY

Mieczysław Czechowicz

Debiuty

MAGDALENA
SZYMAŃSKA

Światło nieznane

Jeżeli żelazo może pieścić
to przebac mi łagodny
Jeżeli wiatr umie całować
to przebac mi szalony
Jeżeli woda chce przytulić
to daruj mi okrutny
Dopala się świeca żalobna
Myślałam o duchach.

* * *

Niedostępny dla wszystkich nasz
klimat
zamroził nuty na tej pięciolinii
narysowanej po raz trzeci.
Zraniony, wdzięczny wiolinowy
klucz
samotnie dogorywa na krawędzi
łagodnej bajki.
Pożegnajnym spacerem nut
kończy się zima

Bytom

JERZY DĄBROWA

Sen

Plomień błyszczał na skroni
pobudzany pulsującym oddechem
Drżącymi prądem palcami
chwytając groźną
druzgocącą ciężką spozną
przymkniętą kotary powiek
miotając się w otchłani

Gubiłaś lek
mrok odchodził
słyszycie groźne hultanie

Wiedziałem kiedyś piekło
to szczylinie
bez widnokresu
bez zorzy
bez zakwitnięcia słońca
Jak noc

Toruń

ZDZISŁAW PRUSS

Pierwsza wizyta

zapraszany serdecznie
przyszł punktualnie

i był najpiękny 2-3 godziny
potem 8-10-75 lat
i dopiero wczoraj odszedł

niewychowany człowiek
w drewno surowe

Bydgoszcz

W „Poskromieniu złoźnicy” Szekspira, w „Obro-
nie Ksantypy” Moliere, w „Rozmowie z wodzie-
wilem”, w „Baronie cygańskim”, w „Piaźniku
z Tyrolu”. W 1950 roku opuściłem rodzinny
Lublin i ruszyłem w Polskę. Zatrzymałem się aż
w Szczecinie, czyli na drugim końcu odczynny.
Tam grałem w sztuce Krymowa „Statek Der-
bent” i w „Dobrym człowieku” Gruszczyńskiego.
— Chyba Brechta...



— Nie poprawiaj mnie. To był tylko dobry
człowiek, a nie dobry człowiek z Seczuanu.
Zgodnie ze współczesnym hasłem „Przekroju”,
już wtedy postanowiłem podnieść w górę moje
kwalifikacje. W tym celu zjechałem do Warsza-
wy na egzamin eksternistyczny. Stała się rzecz
najlepsza, o jakiej nawet nie marzyłem. Nie
zdałem egzaminu.

— To tani powód do chwały...
— Tak ci się tylko wydaje. Egzaminu nie zda-
łem, ale komisja skierowała mnie do PWST, od
razu na drugi rok. Dziekanem i opiekunem mo-
jego roku był sam Zielon! W 1954 roku skoń-
czyłem studia. Pracami dyplomowymi była „Na-
dzieja” Hayermansa i „Balladyna”. W tej ostat-
niej grałem Gralona. Z PWST powędrowałem
prosto do Narodowego pod skrzydła Erwina
Axera. Pod jego skrzydłami jestem po dzień
dzisiejszy. Gdy rozdzielili się dyrekcje Narodo-
wego i Współczesnego (do roku 1958 dyrekcje
oba tych teatrów była wspólna) i gdy Axer ob-
jął Współczesny powędrowałem za nim. Po dziś
dzień moim macierzystym teatrem jest właśnie
Współczesny.

— Moim zdaniem najlepszy teatr w War-
szawie.
— Czechowicz spuszcza skromnie oczy i nie po-
stępuje. Ale też nie przeczy...

— Twoja pierwsza rola w Narodowym po
studiach?

— Marynarza w „Człowieku z karabinem”.
Grałem też Pierchałę w „Ostrym dyszuru” Lu-
towskiego, Franka w „Aszantce”.

— Jaką rolę najczęściej lubisz?

— Zawsze tę, którą aktualnie gram. A więc
rolę Edka w Mrożku.

— A jak tam bywało z filmem? Widzimy się
dość często, chociaż nie za często, na ekranie.

— Debiutowałem w „Piątce z ulicy Barskiej”
Fordy w 1953 roku. Pierwszą większą rolę mia-
łem w „Szatanie z siódmej klasy” Kaniewskiej.

— Zdaje się Malarza?

— Co znaczy: zdaje się? Pisałem reportaż z
kręcenia tego filmu i tylko ci się zdaje? Potem
grałem Trenera w „Mężu swojej żony” Barei,
Wojtkę w „Złoty grzechach” Wałkowskiego,
Kotyrbę w „Świętej wojnie” Dziedziły, jednego
z partyzantów w „Barach walki” Passendor-
fera według powieści Mieczysława Moczara, sze-
fa gangu w „Lekarstwie na miłość” Batorejfo.
Ten ostatni film nie jest jeszcze na ekranach.

— W sumie?

— W sumie, łącznie z epizodami, grałem w
jakichś 14 lub 15 filmach.

— Została jeszcze telewizja.

— Z telewizją jestem związany prawie od po-
czątku, od przeszło 10 lat. Występowałem ponad
100 razy, nie byłbym w stanie wymienić wszyst-
kich ról.

— Czytelnicy by też tego nie wytrzymali.

— No właśnie. Mogę ci tylko powiedzieć co
w telewizji najbardziej lubię: Kabaret Starszych
Panów. Gra w tym kabarecie — to nie obowią-
zek, to przyjemność.

Tu muszę dodać od siebie to, co Czecho-
wicz dyskretnie przemilczał: jest on trzykrot-
nym laureatem Srebrnej Maski dla najpopu-
larniejszego aktora telewizji. A ponieważ w tym
znanym plebiscytcie bierze udział kilkaset ty-
sięcy widzów — to coś znaczy.

— Przy okazji: przepadam za „Kolorowymi
listami”, nadawanymi dla przedszkolaków w
radiu. Gram tam w duecie z Ireną Kwiatkowi-
ską. Ona gra Plastikusa, a ja Misia. Gdybyś wi-
dział te kolorowe listy! Są to obrazkowe listy
(przedszkolaki, o ile pamiętam, nie potrafią pi-
sać) o przygodach Plastikusa i Misia. Kapitalne.

— Jeszcze jedno pytanie na zakończenie: po-
dobno każdy aktor ma jakąś wymarzoną rolę.
Komik, najczęściej, chce zagrać Hamleta albo
Otella. W każdym razie coś możliwie najtra-
gicznniejszego, tak, aby widowie plakali jak bo-
bry. A ty co chcesz zagrać: Hamleta, Otella,
czy może Makbeta?

Czechowicz namyśla się, spoglądając na mnie
nieufnie.

— Dziwne, ale ja nie mam takich ambicji.
Bardzo mi odpowiada to, co gram. Wcale nie
chcę, aby widowie z mojego powodu plakali
jak bobry. Jeśli już, to raczej ze śmiechem. Cho-
ciaż, czekaj... w teatrze nie, ale w filmie chętnie
bym zagrał jakąś psychologiczną, dramatyczną
rolę...

— A jednak!

Mój krzyk zabrzmiał jak triumfalne surmy.
— Ciszej, ludzie śpią naokoło, a tu są cienkie
ściany — stróżuje mnie Czechowicz.

I w ten taktowny, dyskretny sposób daje do
zrozumienia, że o trzeciej nad ranem czuję się
już pożegnany.

Rozmawiał

Krzysztof Janowicz

B YŁO to na wiosnę 1957 roku. Z obo-
wiązką recenzentki tkwiłem w sali
Narodowego na „Aszantce” Perzyl-
skiego. Określenie „tkwiłem” nie ma
zresztą charakteru pejoratywnego. Być
może, iż jako recenzent tkwiłem, jako
widz bawilem się doskonale. Rolę główną gra-
ła Danuta Szafarska. Nie mam, niestety, pod
ręką programu sprzed lat dziesięciu i nie pa-
miętam, kto grał pozostałe role. Utkwił mi na-
tomiaś w pamięci młody aktor, potężnej po-
stury (zbyt lubię Mietka, aby powiedzieć: „gru-
bas”), który wśród zbławizowanej, „premierowo-
prasowej” (czy „prasowo-premierowej”) pu-
bliczności zbierał — rzecz u tej publiczności
niezwykła — brawa. Utkwiła mi również w pa-
mięci scena, kiedy ten młody aktor klepał swoją
partnerkę (wymagała tego, oczywiście, akcja.
Proszę Czytelników o powściągnięcie cugli wy-
bujalej fantazji!) tam, gdzie należał i wówczas
z ust Szafarskiej spłynęło cichutkie: „O Jezu!”
dosłyszalne tylko w pierwszych rzędach. Łapę
bowiem miał Czechowicz proporcjonalną do
swojej budowy.

Wiedziałem tego aktora, tak mi się wówczas
zdawało, po raz pierwszy. Później okazało się
jednak, że wiedziałem go już w tymże Narodo-
wym w sztuce Pogodina „Człowiek z karabi-
nem” (niezapomniany Kurnakowicz w roli ty-
tułowej). W „Człowieku z karabinem” grał jed-
nak Czechowicz mały epizodzik (jednego z ma-
rynarzy), w „Aszantce” natomiast miał już rolę
(kelnera Franka).

Taki był początek mojej znajomości z Cze-
chowiczem, która później wzmocniła się o
kontakty osobiste. Wierzę mi, iż ten, jeden
z najpopularniejszych aktorów polskich młode-
go pokolenia, da się poza sceną lubić w nie
mniejszym stopniu, niż na scenie...

...Siedzę sobie teraz w maleńkiej „kawalerce”
Czechowicza, na przeciw gospodarza, który, w
odróżnieniu od swoich licznych koleżanek, ku-
racji odchudzającej nie przeprowadza. Popijam
importową „Zubrowkę”, zagryzam słone palusz-
ki i uzupełniam to wszystko kawą, którą sam
zaparzyłem, jako że Mietek kawy nie uznaje.
Jest już późno, grubo po północy. Umówiliśmy
się bowiem dopiero po spektaklu (Czechowicz
gra aktualnie w „Tangu” Mrożka). W innych
porach ten diabelnie zapracowany człowiek jest
nieosiągalny.

— Pytanie pierwsze...

— Możesz sobie darować — przerywa brutal-
nie Czechowicz (oto skutki spoufalania się ak-
torami!) — chodź pewnie o to, kiedy zacząłem.

— W rzeczy samej.

— Zaczęłem jako piętnastoletni szczeniak w
roku 1946 w Studium Dramatycznym przy Tea-
trze imienia Osterwy. Oczywiście w Lublinie.
Moimi mistrzami byli Eleonora Frenkiel-Ossow-
ska i Czesław Strzelecki. Od samego początku
grałem potężne, znane role, tym się odznacza-
jące, iż nie wymagały żadnej znajomości tekstu,
bądź znajomości tekstów nader lapidarnych.
Na przykład: „Jaśnie pani, konie podano!”.

— Grałeś więc w sztukach obszarnie-bur-
żazyjnych?

— No to napisz: „Towarzyszu, czas na zebra-
nie!” Grywałem też w tym czasie pomniejszych
rólki w Operetce Lubelskiej.

— Powól, że ci przerwę, ale to bardzo wa-
żne. Czy pamiętasz swoją najpiękniejszą rolę?

— Jasne, że pamiętam. Było to w komedynie
rumuńskiej „Człowiek, który szukał śmierci!”.

— A kogo grałeś?

— Nikogo, robiłem gwara za sceną.

— Aha, a dalej?

— Potem statystkowałem w różnych sztukach.

ty znawca prawa hipotecznego, Al-
fons Krauze, obywatel hrubieszow-
ski. Widząc bezradność ojca, zabrał
się energicznie do porządkowania
kancelarii. Odtąd żaden akt nie
mógł być zatwierdzony bez jego a-
probaty. Dzień w dzień, w samo
południe, wpadał zdyszany do kan-
celarii, zdysany, bo po walce z
psem. Teoria, że pies rzuca się na
wroga swego pana upada po opisie
tych dantejskich scen, jakiego rozgry-
wały się na schodach. Warczenie
psa, tarmoszącego spodnie biegną-
cego po schodach Krauzego i krzyki
tego ostatniego wzywającego nas na
pomoć. Znajomość zawarta z Krau-
zami trwała lata. Z córką Krauzego,
Renią, odbyliśmy tragiczną podróż
do obozu koncentracyjnego Maut-
hausen.

W Hrubieszowie dawał się we
znaki brak intelektualnych rozry-
wek. Jedyną atrakcją był teatr a-
matorski. O każdej porze dnia moż-
na było spotkać na ulicy jaskrawo
usminkowaną wdowę po zmarłym
reżysyer, spieszącą na próbę teatral-
ną. Pod pachą dźwigała książkę. Za-
pewne jakąś nową sztukę do opra-
cowania dla amatorskiego zespołu,
entuzjastów sztuki teatralnej. Czy-
hała na ojca. Napałowała zleniacka,
kiedy przebiegł w popłochu ulicę,
stając się ją wyminać. Wiedziała,
że jest pełen fantastycznych kon-
ceptów, jeżeli chodzi o scenę. Hru-
biezów cieszył się, że gości u siebie
poetę. Hrubieszowscy wielbiciele na-
zywali ojca czarodziejem.

Pod nami, na parterze, mieszkały
trzy starszki, panny Turskie. Za-
późnione resztki zeszłego stulecia. W
staroświeckich sukienkach pomar-
szczone paniątka. Dzievicze, nie-
winne. Przechowywały z całym pie-

tizmem staroświecką zabawkę. Jak-
by wyjęta z witriny antykwariatu.
Pamiętka po ojcu hulace. Ramka,
w którą zakładało się wart obejrze-
nia obrazek i szkło powiększające,
uwyplukiujące kształty. Patrzyliśmy
z siostrą z zachwytem na uwypluko-
ne widoki gór i jezior. Na zakończe-
nie wspaniałego widoku wycią-
gało się z wody, tkwiąca na dnie
obobnego pudełeczka, pornograficzne
zdjęcie i pokazywało się je z dumą
dzieciom. Naiwne starszki nie mia-
ły absolutnie pojęcia o pornografii,
ani o sztuce. Były przekonane, że
są w posiadaniu reprodukcji jakieś
głos wysockiej klasy arcydzieła.

Kiedy nadchodził wieczór, zapa-
lało się lampy naftowe i zasłabło
wygodnie w saloniku. My w progu,
na schodku. My, to znaczy ja z
siostrą. Mówiło się wtedy dużo o
balladach i czytało ballady pro-
wansalskie. Matka namawiała go-
rać ojca do pisania ballad. Właści-
wie zaczął je pisać jeszcze we Fran-
cji, tylko prozą w okolicach gór-
skich Cannes. W Fond de Vert,
przed wybuchem wojny światowej.
Okolo 1911 roku. Wtedy dostał za-
mówienie od J. Morikowicza na tom-
baję dla dzieci i stworzył arcy-
dzieło przewyższające swą warto-
ścią skromne zamówienie wydaw-
cy. Wspaniałe baśnie ludowe, nie-
mające równych sobie w literaturze
światowej. Wzbogacając nimi lite-
raturę polską, nazwał je „Klehad-
mi polskimi”. Na wskroś narodo-
we, ludowe, niezwykle ballady pi-
sane cudowną prozą. Pierwsza z
nich „Tajemnik” jest oparta na le-
gendzie lomyńskie, opowiedzianej
ojcu przez matkę. Inne są czystym
tworem jego wyobraźni. (...)

Fond de Vert. Głęb Zieloności po-
łożone było wysoko na górskim
zobczu. Tuż nad przepaścią. W dali

blekitniało morze. Lasek eukali-
tusowy, rozfalowane zagony mar-
geryt, pola różane. Było bardzo
pięknie. Tam pisał ojciec „Klehad-
dy”. Tam czytał „Skrzyпка opeta-
nego”. Czytał go przez szereg dni
i tak uplastyczniał swą nadludzką
wyobraźnią postać bohatera, że
zdawało się, że go się widzi błądzą-
cego między piniami, zielonej ja-
sności opodal lasu. „Skrzypek” jest jeszcze
jedną jego wspaniałą balladą, ubra-
ną w szatę sceniczną. Korowód ro-
ztańczonego duchów snuje się przez
bór. Uwagi, ciała treści, ruchy, jakie
skrupulatnie zaznacza, pisane są
piękna, poetycką prozą. Drugi, po-
dobny co do treści, wcześniejszy
okresem od „Skrzyпка” dramat, to
„Pierrot i Kolombina”. Balet, tak
jak i „Skrzypek”. Ojciec chciał wy-
stawić „Skrzyпка” na scenie, ale
nie miał wtedy odpowiednich zna-
jomości w operze warszawskiej.
Trzeba było napisać do baletu mu-
zykę. Wyszukać kompozytora. W
ostatnich latach myślał ojciec o
tym. Rozmawiał z Szymanowskim.
Niestety, Karol Szymanowski zmarł
i sprawa oprawy muzycznej
„Skrzyпка” pozostała nierozwiązana.
„Skrzypek”, „Pierrot i Kolom-
bina”, parę felietonów, niedokoń-
czone poematy podzieliły los swo-
ich właścicieli — powędrowały
z nami do obozu koncentracyjnego
Mauthausen, skąd przez obozy pra-
cy dotarły na drugą półkulę.

Pamiętam, jak je niosłem. Led-
wo żywa, z okropnym bólem serca,
po trzech dniach i trzech nocach
jardy w zapłomowanym pociągu.
Otoczyli nas żołnierze z pochodnia-
mi. W blasku tych płonących po-
chodni, od których poszarpanych,
ognistych płomieni odbijała czerń
nocy, pletymy się z matką pod gór-
kę, z trudem dźwigając drogocenny

tobolek. Było to w sierpniu 1944 ro-
ku. Byliśmy pewne, że w ogólnej
połudze zginął „Najpój cieniasty”;
pierwsze wydanie z oryginalnymi
autografami ojca. Podpisując, tom
za totem, porachował cały nakład.
Szyfrowa praca. Pomagała mu w tej
pracy matka. Wycierała podpisy,
odkładała podpisane tomiki. Podpi-
sywał swoim wiecznym piórem
Zielonym, marki Pelikan.

„Najpój cieniasty” pisał w Zamo-
sciu. Mieszkał w tak zwanej
Centralce, na pierwszym piętrze, od
frontu. Miasteczko było zawistne,
ponure, niesympatyczne. Pełzał szary,
Przed tą szaryzną i brzydota
miasteczka krył się ojciec do ogród-
ka zoologicznego. Sławno zoo za-
mojskiego. Tam, na ławeczce, w cie-
niu krzewów, oczekiwał go Adam
Szczerbowski, poeta, wysokiej kul-
tury polonista, ówczesny dyrektor
gimnazjum. On pierwszy odważył
się wydać esej o Lesmianie, wtedy,
kiedy „Wiadomości” zwalczały Les-
miana. W ogrodzie, prowadzonym
z całym pletyzmem przez prof. Mi-
lera, twórce tego zwierzyńca, pełno
było rozpieszczonych zwierzątek.
Pamiętam skandaliczną wizytę
oblaskawionego rysia w naszym do-
mu. Przyszedł do nas w odwiedziny,
niesiony na ramieniu przez
uczniaka - pogromcę. Na tapczanie le-
żały papiery przyniesione z biura.
Rys był bardzo miłutki i łagodny
jak kot. Raptiem, nieoczekiwanie
rzucił się na tapczanę. Papiery fru-
nęły pod sufit. Zdrzeźlał z ledwo-
ścią wyniesiono go z domu. A ca-
ła winna niespodziewanej zmiany hu-
muru spoczywała na dnie koszyka,
z którym wróciła właśnie z rynku
Fellokwa. Mięso. Wyczuł je przez
zamknięte drzwi.

Naukowcy czy dziennikarze?

ZACHEŃCONY zaproszeniem redakcji oraz interesującymi artykułami red. Andrzeja Malinowskiego i prof. dr. J. Opińskiego-Blauth, chciałbym wypowiedzieć kilka uwag na poruszony temat.

Złożoność problemu zmusza mnie do ograniczenia uwagi wyłącznie do pisemnej formy popularyzowania wiedzy z zakresu nauk humanistycznych i społecznych.

Uzasadnione i konstruktywne dla dyskusji wydaje mi się przy tym

naukowych, dla których słowo „populnonaukowy” ma wydźwięk pejoratywny. Spotyka się też rzadko wyrażane, ale praktycznie często realizowane przekonanie: suchy, abstrakcyjny i hermetyczny język pracy naukowej dodaje jej bardziej „naukowego” charakteru. Wystarczy jednak przeczytać prace B. Russella, L. Infelda, W. Tatarkiewicz, K. Ajdukiewicza czy innych wybitnych uczonych, żeby się przekonać, że tam, gdzie są oryginalne myśli, tam żywy i prosty język dodaje pracy tylko uroku. Ba, ale

Dyskusja o POPULARYZACJI WIEDZY

odróżnienie popularyzacji nauki od aktualnej informacji naukowej, którego broni w swej wypowiedzi prof. Opińska-Blauth.

Informacja naukowa podaje w lakoniczny i przystępny sposób wiadomości o odkryciach, osiągnięciach i planach badawczych naukowców oraz placówek i organizacji naukowych. Nie kwestionuję potrzeby takiej popularyzacji nauki pojętej m. in. jako popularyzacja dorobku pracowników i placówek naukowych. Dla naukowców może być ona świadectwem zainteresowania i uznania społecznego, dla społeczeństwa zaś źródłem informacji o jednej z ważnych dziedzin życia.

Popularyzacja nauki pojęta jako aktualna informacja naukowa nie wymaga jakichś specjalnych kwalifikacji od ludzi, którzy się nią zajmują. Potrafi to zrobić dziennikarz, u którego inteligencja i umiejętność pisania idzie w parze z rozsądkiem i odpowiedzialnością za to, co pisze, pod warunkiem, że w przypadkach trudniejszych będzie korzystał z konsultacji specjalistów z danej dziedziny. Przepuszczam więc, że wówczas, kiedy red. Malinowski mówi o zawodzie popularyzatora nauki, to nie ma na myśli tej formy popularyzacji.

Sprawa bardziej istotna i trudna jest chyba upowszechnianie wiedzy. Przy tak pojętej popularyzacji nie chodzi już o ciekawostki, osobliwości i krótkie informacje o wydarzeniach naukowych, lecz o przekazywanie społeczeństwu, w interesującej i przystępnej formie, treści teorii i hipotez naukowych, wiedzy o naturze zbadanych zjawisk, o mechanizmach odkrytych praw naukowych itp.

Tu rzeczywiście potrzebne są już specjalne kwalifikacje popularyzatorów; nie każdy dziennikarz i nie każdy naukowiec sprosta temu zadaniu. Popularyzatorzy tego typu powinni być w zasadzie zawodowcami, choć mogą się rekrutować nie tylko ze środowiska naukowców. Taki specjalista musi mieć przede wszystkim solidną i rozległą wiedzę z zakresu popularyzowanej przez siebie dyscypliny naukowej.

Może nim być dziennikarz, ale przygotowany. Natomiast trudno, aby był on specjalistą od popularyzowania wszystkich dziedzin nauki.

Alte przecież nawet w wojewódzkich miastach typu Lublina, gdzie istnieją dwa dzienniki, dwutygodnik kulturalno-społeczny i rozgłośnia radiowa, kilku dziennikarzy specjalistów od popularyzacji różnych dziedzin nauki nie miałoby po prostu co robić. Musieliby się zajmować także innymi formami publikacji dziennikarskich. Wątpliwie więc, czy podolaliby wymaganiom zawodowych popularyzatorów, o czym marzy red. Malinowski. Wynika z tego że popularyzatorzy wiedzy powinni rekrutować się głównie ze środowiska naukowców. Warunek ten, choć konieczny, nie jest jednak wystarczający.

Popularyzator nauki powinien bowiem posiadać również świadomość ważności swej misji społecznej, być zapalonym entuzjastą tej pracy, powinien wreszcie umieć pisać o rzeczach trudnych językiem prostym, żywym i pięknym.

Okazuje się w praktyce, że połączenie tych trzech cech w jednej osobie jest wśród naukowców zjawiskiem dość rzadkim i w rezultacie jeden dobry popularyzator trafia się na kilkudziesięciu dobrych specjalistów. Mam wrażenie, że obok czynników obiektywnych, takich jak brak czasu, przeładowanie obowiązkami dydaktycznymi, administracyjnymi i społecznymi — nie mówiąc już o subiektywnym braku talentu — negatywną rolę odgrywa tu także pewne uprzedzenia i przesady pokutujące jeszcze dotąd w pewnych środowiskach właśnie o te myśli chodzi! Prak-

tyka wskazuje, że niekiedy brak myśli można dość skutecznie maskować trudnym, suchym i przeladowanym terminami naukowymi językiem.

Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że jednym z najważniejszych kryteriów oceny jakiegokolwiek działania ludzkiego jest fakt zaspokojenia przez nią istotnych potrzeb społeczeństwa. Każdy wytwór człowieka, który spełnia ten postulat, jest czymś cennym. W nauce największą wartość mają odkrycia nowych prawd, ale nie mniej ważne jest udostępnienie ich społeczeństwu. Spopularyzowanie poglądów Kopernika, Darwina i Marksa było istotnym szeblem na drodze do ostatecznego zwycięstwa ich teorii. Wśród wielu działających obecnie pracowników nauki, nie wszyscy są geniuszami, którzy dokonują rewelacyjnych odkryć. Nie zawsze też między pracami naukowymi, a populnonaukowymi zachodzi jakościowa różnica co do stopnia oryginalności i odkrywczości zawartych w nich myśli. Niekiedy istotna różnica polega na tym, że prace naukowe obciążone są tzw. aparatem naukowym, tj. masą przypisów, cytowań i nie zawsze potrzebnych trudnych terminów, a prace populnonaukowe napisane są żywym i prostym językiem. Gdyby sami naukowcy, nie rezygnując z precyzyjnych sformułowań, potrafili równocześnie pisać ciekawie, prosto, pięknie — wówczas popularyzacja nauki byłaby niepotrzebna. Nie jest to, oczywiście, rzecz łatwa, ale programowa hermetyczność języka, nie wykluczająca przy tym częstego wzniesienia w naukach humanistycznych i społecznych, bywa czasami zwykłym kamuflażem braku umiejętności pisarskich.

Brak uzdolnień pisarskich nie dyskwalifikuje, oczywiście, autora pracy naukowej, ale też nie jest dostatecznym powodem do dumy i poczucia wyższości.

Inicjatywy kulturalne

Nie tylko „Kobra“

WYSTARCZY zagadnąć pierwszego lepszego pedagoga, by usłyszeć całą lawinę narzeką na ten temat: młodzież trzeba do teatru napełnić, duża część zresztą po prostu nie ma z nim żadnego kontaktu. A przecież trudno się ludzi, że w przyszłości nagle się wszystko odmieni, jeśli w wieku szkolnym nie nabędzie się nawyku chodzenia do teatru, nie nauczy rozumienia jego konwencji, odczuwania właściwego mu piękna. Nie są to tylko narzekania ludzi starszych, którzy zawsze krzywo patrzają na „dzisiejszą młodzież“.

Prawdą jest, że istnieje realne przeszkody, które istotnie utrudniają młodzieży kontakt z teatrem i o ich obaleniu (czy przynajmniej zmniejszeniu) przede wszystkim trzeba by pomyśleć. Inaczej bowiem jednym uznaniem — dlatego bo jedynym znanym — teatrem będzie „Kobra“... Jakie bowiem praktyczne, realne możliwości obcowania ze sztuką teatralną ma młody człowiek, uczeń powiatowego liceum? Będmy szczerzy, nawet jeśli do wojewódzkiego miasta niedaleko, to jednak zawsze jest to wyprawa (wracać trzeba w nocy) i trudno się spodziewać, by przy wszystkich udogodnieniach, jakie teoretycznie można sobie wyobrazić, kontakt z teatrem był jako tako stały. Jeśli tak jest z uczniem liceum, gdzie się o teatrze dużo mówi — to czego się spodziewać po ogromnej rzeszy młodzieży ze szkół zawodowych, rolniczych, SPZ-ów? Jakże perspektyw na przyszłość, kiedy ci widzą wie dorosną, zaczęną pracować w wielkich miastach, mijając codziennie budynek teatru?

Stąd szczególny walor inicjatywy, która pojawiła się w Krakowie przed paru już laty i która z wielką konsekwencją nadal jest rozwijana, choć na nadmiar naśladowców nie można narzekać. Idzie o formy teatru estradowego, docierającego do małych nawet skupisk ludzkich, uczącego młodzież patrzeć na teatr, rozumieć sceniczny skrót i umowność. Co tydzień wyrusza z Krakowa kilka ekip Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych, by na zaimprovizowanych szkolnych scenkach zaprezentować montaż fragmentów sztuk Szekspira i Gor-

kiego, poezję Różewicza i Lechonia, adaptowaną prozą Szołochowa i Tetmajera. Jadą różnie: samochodami, pociągami, autobusami PKS, zdwojonym wysiłkiem opłacając piękne zyski tej akcji kulturalnej. W sytuacji kiedy gestem trzeba zastąpić rekwiwyt, a adresowanym do widzów komentarzem dekorację — rodzici się może zrozumienie dla praw tego „normalnego” teatru, który, choć wyposażony w stałą salę i udogodnienia techniczne,

TADEUSZ ROBAK

tak chętnie korzysta z podobnych, choć może nie tak daleko posuniętych zabiegów formalnych.

Byłem widzem wielu takich szkolnych spektakli. W zimnych salach gimnastycznych, aulach lub po prostu klasach, pod nadzorem nauczycieli, odbywają się te niezwykle imprezy, łączące walor pedagogiczny lekcji z autentycznym pięknem, jakie niesie ze sobą wielka sztuka, literatura klasyków i współczesnych, wsparta gwarantującym poziom artystyczny wykonaniem. Trzeba bowiem podkreślić, że zespół aktorski tych tak przecież niewdzięcznych z punktu widzenia ambicji i zarobków wysiłków składa się z nazwisk dobrze w Krakowie znanych: Ostaszewska, Nowotarska, Świętonowska, Hanzel, Adamski, Szymborski i Zazula, a z najmłodszego pokolenia — Junówna, Korabiec, Kwiatka. Ostatnio w audycji słownej poświęconej jego twórczości jeździ także Jaju Kurek. A zatem okazuje się, że jeśli idzie o akcję ambitną artystycznie, daleką od tradycji estradowej chałtury — spodziewać się można poparcia ze strony najlepszych wykonawców, choćby trudności były wielkie, a warunki finansowe miszernie. Ale wstyd zresztą tu mówić, że jakie pieniądze odbywa się to wszystko i że od estrad wciąż wymaga się rentowności, nawet wtedy, kiedy uprawiają działalność z oczywistych względów deficytową, i że dopłata państwowa obejmuje tylko każdego „normalnego” widza teatralnego, nawet tego w kinie więksim, natomiast omija skrzętnie objazdowe estrady.

Ostatni okres pozwolił pokazać młodym widzom we wsłach i miasteczkach także „Współczesne poetki polskie”, „Ballady i romanse”, „Początki państwa polskiego w literaturze XIX wieku”, „Twórczość Kruczkowskiego” itd. Każdy spektakl, zrealizowany w oparciu o oryginalny scenariusz (już na parę miesięcy naprzód „Estrada” porozumiewa się ze szkołami, konsultuje oferty i przyjmuje sugestie pedagogów, którzy także przyjeżdżają na próbę generalną) przygotowywany jest pod

fachową opieką Jerzego Ronarda-Bujańskiego, reżysera, aktora i pedagoga w jednej osobie. 240 audycji w roku ubiegłym, 2000 w sumie dla 575 000 widzów — to już dorobek poważny.

Niedawno doszła jeszcze jedna inicjatywa — wciąganie w orbitę teatru także uczeloni szkolni podstawowych, pozabawonych — poza wielkim miastem — jakiegokolwiek możliwości zetknięcia się z teatrem i estradą. Najpierw widowska „Wesołe żaczki” i „Na krakowskim rynku”, a obecnie program kabaretu „Drops”, który według powszechnej opinii jest niezwykle oryginalną formą kształcenia smaku i muzykalności najmłodszego — stanowi kolejkę kroki po tej zupełnie nieprzetartej drodze. Jak dotychczas, królował tu zapraszyany przez radę zakładową Dziadek-Mróż i teatryki kukielkowe.

Nietrudno dojść do wniosku, że jak najszerszy rozwój tego typu działalności powinien być rzeczą oczywistą, a w procesie edukacji wręcz niezbędna. Zetknięcie z teatrem, z dobrą recytacją w wykonaniu aktora, którego przecież nie zastąpi nawet pełen najlepszej woli polonista — opiekun zespołu amatorskiego, z piosenką wartościową i dobrze wykonaną, to wszystko pozwala wyciągnąć z tego kontaktu ze sztuką maksymalne korzyści. A więc tylko czekać na oficjalny placet dla tej akcji.

To w Krakowskim. A inne województwa? Są przecież takie miejscowości, gdzie młodzież nigdy teatru nie widziała! Można przytoczyć przykłady odległych od miasta wojewódzkiego o godzinie czy dwóch liceów, gdzie przez cały ciąg nauczenia, aż do matury, ani razu nie wzięto młodzieży do teatru! Jeśli nawet tej namiastki, operującej fragmentem dramatu, markującej dekoracje, zabraknie — jakże w ogóle mówić o przygotowaniu pełnowartościowego odbiorcy sztuki!

Być może, należałoby oszczędzić sobie tych pesymistycznych refleksji przy omawianiu bądź co bądź cennej, udanej i już dobrze przez czas wypróbowanej inicjatywy — tym bardziej, że właśnie Kraków, dzięki rozsądkowi Prezydium WRN, potrafił wyodrębnić pewne środki na adresowane do młodzieży imprezy o dużej randze artystycznej. Nie wpadając bowiem ze skrajnością i czas już to zmienić: podział na kulturę i chałturę nie jest jednoznaczny z podziałem organizacyjnym przedsiębiorstw. Jeśli chcemy, by młody widz umiał w przyszłości wybierać — trzeba mu te możliwości wyboru w pełni przedstawić.

Listy do KAMENY

W cieniu warszawskiego Parnasu

W OKRESIE jubileuszu „Kamery” znany publicysta Andrzej Wałeski proponował w tygodniku „Kultura”, by dwutygodnik lubelski objął swoim patronatem również Mazowsze. „Pod latarnią jest najciemniej — stwierdza z ironią publicysta — należy Ziemię Mazowiecką oświetlić światłem bożym, by w pełni ujrzeć jej kulturalną rzeczywistość”.

Jest chyba jakimś paradoksem, że publicysta warszawski w warszawskim tygodniku apeluje, aby o sytuacji kulturalnej województwa warszawskiego pisało pismo ukazujące się w Lublinie. Niestety, to smutny ale prawdziwy fakt, iż Ziemia Mazowiecka niewiele się interesująca tygodniki społeczno-kulturalne wychodzące w stolicy. Może jedynie „Tygodnik Kulturalny” od czasu do czasu zamieści teksty autorów tworzących gdzieś na Mazowszu lub poświęci jakiś artykuł temu regionowi. Utarło się przekonanie, iż na Mazowszu nie się nie dzieje w sferze kultury, że jest to przostawione białą plamą, plamą ogromną, bo obejmująca jedno z największych województw w kraju.

Tymczasem na Mazowszu dokonano się w ciągu ostatnich lat wielka rewolucja przemysłowa, niosąca ze sobą nieuniknione przemiany również w sferze kultury. Trzeba jedynie to wszystko wydobyć i — jak mówi publicysta — „oświetlić”. Na Mazowszu ludzie, mający jakiegoś ambicje kulturotwórcze, nie mają swojej trybuny, z której mogliby mówić.

Truizmem, byłoby przypomnienie oczywistego faktu, iż tam, gdzie nie ma możliwości publikacji prasowych, nie może być mowy o jakimś ruchu umysłowym, o kulturotwórczym fermentie. Ziemia Mazowiecka nie ma w chwili obecnej swojej regionalnej prasy kulturalno-społecznej i jest chyba w Polsce wyjątkiem. Województwo warszawskie żyje w cieniu stolicy, większemu miast leżących w promieniu 50 km od Warszawy to jej przysłówowe hotele, natomiast dziesiątki miast i miasteczek położonych w głębi województwa nurtują wiadome problemy kulturalne i społeczne, które znane są także działaczom i publicystom z miast wojewódzkich. Oczywiście, iż sprawy te niewiele obchodzi pisma warszawskie, zajęte ogólnopolskimi czy światowymi zagadnieniami.

Wszystkie urzędy i instytucje wojewódzkie znajdują się w Warszawie, w Warszawie miesi się również redakcja „Trybuny Mazowieckiej”, jedynie w tej chwili gazety związane z Mazowszem. Nawet Teatr Ziemi Mazowieckiej walczy o stałe lokum w stolicy. W Warszawie urzędują się wystawy mazowieckiej sztuki ludowej, tu najczęściej pokazują się malarze mieszkający na Mazowszu. Zrozumiałe, że te wszystkie imprezy, mające znaczenie lokalne, terenowe, niewiele znajdują oddźwięku w stolicy, natomiast bardzo zubożają miasto mazowieckie. A przecież Płock jest dzisiaj dużym miastem o wielkich ambicjach i bogatej kulturze (twórczości tradycji). Czy tutaj np. nie mogłyby stać zamieszkałe Teatr Ziemi Mazowieckiej? Myślę iż powinno się na terenie Mazowsza, w większych miastach takich właśnie jak Płock, Siedlce, Ciechanów czy Ostrołęka, urządzić ogólnowojewódzkie imprezy kulturalne.

W województwie warszawskim obok „Notatek Płockich”, pisma związanego z Płockiem i poświęconego głównie sprawom historyczno-naukowym, wychodzi jedynie czasopismo społeczno-kulturalne „3 Rzek”. Do niedawna było to pismo o bardzo wąskim zasięgu, obejmujące

głównie Ziemię Ciechanowska. Jego redakcja znajduje się właśnie w Ciechanowie. Ostatnio jednak „3 Rzek” zostało rozprawdane na całej województwie celem wypienienia luki jaka jest brak periodyki społeczno-kulturalnego Mazowsza. „3 Rzek” jest niestety piśmiennictwem bardzo małym. Ukazuje się raz na kwartał w formacie A-1 i w objętości 16 stron. Jest ono swego rodzaju fenomenem wydawniczym. Wydaje je, redaguje jeden człowiek, mgr Teodor Leonard Młynarski — dyrektor Korrespondencyjnego Gimnazjum i Liceum dla Pracujących. Warto piśmi poświęcić trochę uwagi.

Ukazano się, jak wiele czasopism tego typu w Polsce, w anach brulizowych przemian 1956 roku. Prosperowało ze zmienianym szczęściem i w bieżącym roku obchodzić będzie dziesięciolecie. W latach 1955-1960, kiedy nakład pisma osiągał rekordową liczbę 35 tysięcy egzemplarzy, liczza zwrotów była minimalna, a nawet jeden numer, poświęcony bitwie pod Grunwaldem, miał nakład 100 tysięcy egzemplarzy. W tych latach pismo kolportowano w całym kraju. Później jednak władze ograniczyły jego zasięg tylko do regionu ciechanowskiego. Obecnie znów wchodzi ono na rynek wojewódzki w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy. Autorom redakcja nie płaci żadnych honorariów podobnie jak honorarium nie pobiera redaktor naczelny, który jest jednocześnie woznym, redaktorem technicznym i dziełki temu pismo egzystuje. Gdzieś do 1962 r. „3 Rzek” było kwartalnikiem o profilu historycznym. Drukowano w nim prace o przeszłości i o świetniejszych czasach Ziemi Ciechanowskiej; dopiero od kilku numerów czasopismo wypełnia się treścią współczesną. Ma nawet ambicje literackie. Przy redakcji powstała tzw. „Grupa poetyczna 3 Rzek”, skupiająca miejscowych, ciechanowskich wierszopisarzy.

Z chwili jednak, kiedy „3 Rzek” zajęło się współczesnością, zaczęły się i kłopoty. Okazuje się, że łatwiej

jest redagować kwartalnik o ambicjach historycznych, niż współczesne czasopismo literacko-kulturalne. Niektóre numery zostały ostro skrytykowane szczególnie przez „Współczesność”, co było dość łatwe zwłaszcza, że red. Młynarski zaczął dopiero redagować pismo o profilu literackim i jako jedyny redaktor musiał popracować błędy. Największą omylką było oparcie się na wąskiej grupie współpracowników, głównie z Ciechanowa, piszących nieszczerze wiersze, nie mające nic wspólnego ze sztuką poetycką. Nie utrzymywał również proporcji w doborze materiału, znalazł się jeden numer, w którym zbyt wiele miejsca poświęcił swojej twórczości. To wywołało wielką burzę. W kulach działaczy kulturalnych jak i w wydziale kultury wojewódzkiej rady rozgorzała dyskusja nad piśmiem, która — jak sądzić — przyniesie jakiegoś konkretnego, dobre rezultaty.

Bo „3 Rzek” mimo wszystko jest na Mazowszu bardzo potrzebne. Osobiscie jestem pełen uznania dla redaktora L. Młynarskiego za jego dotychczasowy wysiłek włożony w redagowanie czasopisma, mimo iż się nie zgadzam z jego pewnymi decyzjami redakcyjnymi.

Poświęćłem w swoim liście największą miejsc „3 Rzekom”. Niewątpliwie piśmiem jest wyjątkowym zjawiskiem kulturalnym w naszym życiu mazowieckim, choć tych ciekawych zjawisk jest na pewno więcej. Np. dobrze pracujące Towarzystwa Kulturalno-Społeczne w Plocku, w Ciechanowie, w Ostrowie Maz. i rozwijający się ruch artystyczno-amatorski. A przecież są jeszcze mazowieckie, kurpiowska, podlaska sztuka ludowa, setki klubów i dziesiątki nowych domów kultury.

Wiele ciekawych spraw czeka na Mazowszu na pióro publicysty. Dobrze więc by było, gdyby i „Kamery” chciała „światłem bożym” oświetlać ten region. Może wtedy przedtę dojrzą go z warszawskiego Parnasu?

Dionizy Maliszewski

DZIADEK Antos był dziadkiem ze wszech miar okrągłym, tak, iż przechodnie na ulicy nie mogli powstrzymać się od porównywania go z opustowym balonikiem. Jego pulchność ujawniała się szczególnie, gdy się poruszał, a właściwie toczył, szybko stukając podkolanymi w celach oszczędnościowych butami. Jeśli do tego dodać jeszcze, iż uśmiech nie zniknął prawie nigdy z jego czarstwej twarzy, a ręce, pulchne i ruchliwe, gładziły często okrągłość brzuska, to będzie — aczkolwiek niepełny — wystarczający obraz optymistycznej i pełnej pogody życia dożyczonej powłoki dziadka Antosia.

Dla dziadka skończyły się dawno lata kłopotów i burz, rozterek i wahań. Dorastające wnuki odwiedzały go czasem, niekiedy wstąpiły córki, raczej do babki, niż do niego, a tylko przy większym święcie obaj zięćciowie zjawiali się, nie bezinteresownie zresztą; dziadek miał zawsze dobrą śliwownicę. Ale to nie obchodziło go: przyjmował ten brak rodzinnej serdeczności z wyrozumiałością godną filozofa, który wie, że mogłoby być gorzej, jak na przykład u sąsiada Teofila, gdzie wiecznie tłuką garnki i wodzą się za lby. I to o co? Ze ponoć syn ich, Tosiek, od dwóch lat chodzi na spacery z jakąś panną. Dziadek się uśmiechał, gdy go dochodziły echa awantur zza płotu i mrucał do siebie: trzymaj się Antos, trzymaj, nie daj się starej sekutnicy. Może ta sympatia dla nieszczyśliwca wiązała się z tym, iż delikwent był jego imiennikiem, a może dziadek przypominał sobie wtedy swoje młode lata?

W jedną z upalnych, lipcowych niedziel dziadek Antos postanowił wybrać się wreszcie na wielki połów, nad rzekę, odległą o cztery prawie kilometry. Do diabła z tymi bajorkami pod miastem! Cóż to znaczy te siedemdziesiąt dwa lata wobec perspektywy wędrówki samopas z wędką na ramieniu, z puszką robaków u boku, przez szumiące pszenicę pola, w dół, ku lśniącej rzece, nad którą można znaleźć wspaniałe, cieniste zatoki pełne ryb i gdzie nie ma babki? A dziadek Antos znalazł takie miejsca, o, i jak jeszcze! Na samo ich wspomnienie zadowolone oczy dziadka stawały się jeszcze bardziej okrągłe. Zapewno widział w myślach potężnego szczupaka, o którym od dawna marzył jako o trofeum koronującym jego rybacką karierę.

Jak zawsze, babka zaczęła gderać na temat obrazy boskiej i heretyków, więc nie było mowy o wyruszeniu rankiem, gdy kwiatki jeszcze trochę śpią, a ciepleta, zadzierając ogony, ganiają po zagrodach. To były tylko marzenia dziadka związane z mglistymi obrazami przeszłości. W rzeczywistości dopiero po mszy, zjadłszy wcześniej obiad, wyruszył dziadek na połów. Upał był potężny, ale podróżnik nie tracił fantazji. Jego okrągłą osobę osłaniał słomkowy, o nieprawdopodobnie szerokim rondzie kapelus — wspomnienie, którym dziadek powiewał jeszcze na wjazd Franciszka Józefa, gdy dobroliwy monarcha raczył odwiedzić miasteczko podczas wizyty w Galicji. Kapelus ów był jedyną wesołą pamiątką dziadka z kawalerskich czasów. Innych wspomnień nie liczył, były mgliste i można było stracić humor rozmyślając, a to źle wpływało na samopoczucie, o które trzeba było bądź co bądź dbać, mając te lata.

Po godzinie dotarł dziadek do rzeki. Płynęła wolno miejscami płytka, pełna łąch i wysp. Przy tak małym wodzie ryby siedzą w dziurach pod krzakami u brzegów i biorą dopiero pod wieczór, o czym — chwala Bogu — nie wiedziała babka, bo nie można by się z domu wyrwać.

Machnął dziadek ręką, odpędzając refleksje i wyruszył w dół rzeki brzegiem na poszukiwanie miejsca znanego z dawnych lat. Po chwili twarz wędrowca zajaśniała, zakręglając się idealnie: był u siebie, w krainie ryb i wspomnień. Cypeł przystawał ponad małą zatoczką, spokojną i głęboką. Nawet jeśli się zmieniło od trzech lat, gdy był tu po raz ostatni; było jakby wyżej, ale to tylko dziadkowi się tak zdawało, bo się postarzał, przygarbił i bał się bardziej przestrzeni.

Dziadek zaszył się w krzaki i w ich cieniu usiadł na samym brzegu. Wyjął z torby prowianty i odstawił w krzaki wraz z puszką z robakami. Teraz mógł odpocząć po tych kilku kilometrach.

Z tylnej kieszeni spodni dobył starą austriacką feldflaszkę, potrząsnął, pobulgotał i z szacunkiem, jaki należy wystąpić domowej śliwownicy, lyknął solidnie. Można się rozjeżdżać. Rzeka rozlewała się naprzeciw zatoczki bardzo szeroko, a jej koryto podzielone było wyspą powstałą z piaszczystej ląchy porośniętej krzakami. Z tego miejsca był świetny widok na wyspę i dolny brzeg rzeki, tam, w odległości jakiegoś kilometra mieściła się plaża, stąd oczywiście już niewidoczna. Górny bieg rzeki zastąpiony był zakrętem.

Upał stęzał, przesycając powietrze żarem. Dziadek Antos odpoczywał w swoim bocinym gnieździe na wysokości jakichś pięciu metrów nad wodą, obserwując krajobraz, oddychając gorącym powietrzem, zwykłym powietrzem, które tutaj, w tej ciszy nieprzerwanej głosem człowieka, nie, nie człowiek — babki — nabierało smaku i zapachu młodości. Tutaj przede wszystkim, który był wtedy szerszy i niższy, po raz pierwszy on, zakochany krawiecki uczeń, pocałował „ją”, dziewczynę z „dobrego domu” i tu usłyszał, również po raz pierwszy, słowo „cham”, które strzeliło razem z polizkiem a zabolalo gorzej, tym gorzej, że takie historie wyczytywał już z książek,

w których poznał dziesiątki bohaterów biorących w gebe. I tutaj, tu właśnie postanowił, że będzie się uczył, że pokaże co potrafi, on, kandydat na mistrza napsarkowego, tej pannie z inteligencji magistrackiej, córce urzędnika którejś tam kategorii. Tutaj wreszcie przesadywał całe dnie, zmęczony, ze wzrokiem utkwionym w wodę, gdy wrócił z wojny, on — niedokończony, jak mówili, student, który mógł dostać najwyżej posadę pomocnika pisarza w magistracie. Uczył się dalej?

Za co? I po co? Przed wojną pozbył się prawie całej ziemi po rodzicach, by się kształcić, a mały domek z ogrodem na przedmieściu nie liczył się, trzeba było przecież gdzieś mieszkać. Nie był krawcem i nie miał maturo, odebrała mu ją wojna. A jego panna była już gderliwą panią sekretarową. Nim zajęła się ciotka mieszkająca od niepamiętnych czasów w jednym pokoiku małego domu jego rodziny, gdzie i on zamieszkał po wojnie. Wreszcie ocknął się: było to tego dnia, gdy do ciotki Anny przyjechała kuzynka z Francji, energiczna, pełna temperamentu wdówka, która od pierwszego wejrzenia oceniła należycie krępa, silną budowę kuzyna.

W trzy dni później całe miasteczko, w którym wszystko było publiczną tajemnicą, हुआ zgorzaniem, a on śmiał się. Ciotka Anna dostawała co godzinę palpacji serca nadwężonego pułkownikowskimi amarami i pełnego sprzecznych uczuć: niechęć do kuzynki „hańbiącej” dom i szacunku do tej, że pomagającej od czasu do czasu pokojami zagranicznych towarów, piękna Maria była bowiem dosyć bogata.

Spojrzał na bulgoczącą dole wodę i przypomniawszy sobie, że ma pełny pęcherz. Ba, ale jako to teraz zrobić?

Nagle dał się słyszeć szum w krzakach pod dziajkowym cyplem i dziewczyna odwróciła się ku brzegowi rzeki. Dziadek odruchowo się skulił. Ktoś tam był, kogo dziadek nie mógł dojrzeć, zasłaniał go występ ziemi i krzaki.

— Nie mogłeś jeszcze później przyjść? — prawie krzyknęła dziewczyna. Miała głęboki, jakoś nie zgadzający się z jej szczupłą figurą głos. Dziadek, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie Wiedeń i śpiewaka z wiedeńskiej opery chudego jak tyka i śpiewającego grubym basem.

— Przelaż już przez wodę, nie będę chyba chlapała się w tym błocie? — powiedziała już nieco spokojniej czarownicą.

Rzeczywiście, brzeg po tej stronie, urwisty i zasłonięty krzakami, był błotnisty. Ten ktoś mamrotał coś pod nosem a potem dziadek usłyszał plusk i zobaczył, jak chudy, wysoki chłopiec idzie przez rzekę ku wyspie, trzymając nad głową w jednej ręce zwiniętą koszulę i spodnie, w drugiej sandały. Gdy wyłaził na piasek, nogi miał jeszcze zabłocone a ze sportowych spodenek, które mu oblepiły uda, ciekła żałostka woda.

— Kąpielówek to nie mogłeś włożyć? — odezwiała się z ironią dziewczyna. Słychać było doskonale, byli odlegli od dziadka zaledwie o kilkanaście metrów.

— Nie mogłem, nie miałem czasu — chłopiec rozglądał się trwożliwie — ktoś mnie śledził, jak szedłem, ciągle mnie śledzą,

Wielki szczupak

JERZY SZPUNAR

Maria wróciła do Francji. Pisała do niego, później wyszła za mąż i więcej nie stykał o niej. On zresztą też się ożenił.

Właściwie to go ciotka Anna wyswatała z panną porządną, a jakże, cnotliwą (jak kropielnica — mawiał w żłości), chudą niby deska do prasowania i gderliwą. Aby przed potwornym grzechem i obrazą boską ustrzeć. Nie ustrzeżła. W trzy miesiące po ślubie wyrwał się na miesiąc do przyjaciela z austriackich okopów aż do Warszawy, szalał tam, słuchy nawet o dziecku niesłubnym chodziły, ale czego to ludzie nie wymyślą. Wrócił wreszcie, bo pieniądze nie miał, praca mechanika, której wyuczył się w wojsku, nie dawała wiele bez warsztatu.

Potem jakoś się ułożyło zwyczajnie, szaro, normalnie. Miał zdolności do majsterki, lubił maszynę, zarabiał nawet niezłe. Przyszły córki, druga wojna, wnuki i starość. Ale nie żałował nigdy niczego, nie rozpił się, choć kieliszkiem nie gardził, nie zazdrościł nikomu, tylko czasem po cichu wymawiał jedno imię: Maria.

Od rzeki zalecał go jakby lekki wiaterek. Dziadek ocknął się, otworzył oczy. Oparty o pień wierzby sięgnął za jej korzenie, gdzie odpoczywała w cieniu feldflaszką. Zaraz, zaraz, jak to ją nazywali? Aha, Feldjägerdenf Flasche. Teraz można sobie lyknać, to i wzrok bystrzejszy i umysł sprawniejszy.

Dziadek pomyślał, że właściwie to można by zarzucić już wędkę, ale tak przyjemnie jest patrzeć na rzekę, wyspę, na wiszące w niebie ptaki, że nie chce się człowiekowi ruszać. Wtedy właśnie, gdy tak medytował, dojrzał w dole rzeki kajak, a w nim dziewczynę. Była już blisko. Lekko wyskoczyła z kajaka i wpełznąła go na piasek wskiej plaży, ciągnąc się wzdłuż wyspy. Dziadek już wiedział: umówiła się tutaj z chłopakiem, hm, niedobrze, podpatrywać nie wypada. Ale co tam, on przyszedł tu łowić ryby, a nie patrzeć na randkujące pary. Zajął kapelus, bo słońce, które miał wprawdzie nieco za sobą, raziło poprzez liście krzewów. Dziewczyna wyskoczyła na brzeg łąch z plażową sukienką w ręce i dziadek aż mślny: była śliczna. Wysoka, o długich, za szczupłych może nogach, bardzo sterczących piersiach i czarnych włosach, opalona, w czerwonych majteczkach i staniku wyglądała jak cudowne zjawisko na tym odлюдzi. Rozglądała się z niecierpliwością, którą dziadek mógł odgadnąć z gestów. Wyjęła z kajaka papierosa i zapaliła. Dziadek już przypomniało się, że jeszcze nie palił po obiedzie fajki, ale teraz było za późno, nie mógł się zdradzić.

Mineło parę minut. Dziewczyna siedząca niedbale na burem kajaką sięgnęła po drugiego papierosa, a dziadek przełknął ślinę.

dzisiaj matka powiedziała, że mi rozwalił łeb, jak jeszcze raz z tobą się spotkam.

Dziadek sięgnął z wrażenia: to był właśnie Tosiek! Dziewczyna, wyższa nieco od niego, stała z rękami na biodrach i patrzyła nań z jakimś drwiącym politowaniem.

— Słyszałam to już sto razy i jeszcze kilka. Wiesz po co chciałam się z tobą zobaczyć?

— Nie, nie wiem.

— Bajka, on nie wie. Nawet mi nie powiesz, że ci wszystko jedno, byleby być z mną? Od przeszło tygodnia nie widzimy się, a ty nie nie wiesz, ciębie nie nie obchodzi! Paradne. I to ma być to coś, co poeci nazywają miłością...

— Ależ kochanie...

— Tylko nie kochanie, ochrzcieli mnie przygodkowo Irka.

— Iruś, przecież wiesz, jak się męczę. I co mam zrobić? Nie wiem, już nic nie wiem.

— Więc kto ma wiedzieć, ja?

— Ależ słuchaj, mówilem ci, że skoro tylko uzbieram trochę forsy, wyjedziemy.

— Trochę forsy? Pękne! Z czego? Z tej twojej pensyjki, z której matka cię wylicza?

— Mam boczne dochody...

— E tam, twoje dochody.

— Oczywiście, mniejsze, niż pseudoinżyniera, ale cóż... — w głosie chłopca dziadek wyczuł jakąś inną nutkę, więc nadstawił ucho, to lewe, które lepiej słyszało.

Dziewczyna rzuciła się do przodu.

— Milcz! Nic cię to nie obchodzi, było, przeszło. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr — rzekła już spokojniej — zresztą, jeżeli wierzysz ludziom, a nie mnie, to trudno.

— Nie, nie wierzę, choć to nie tak dawno znów było. Ale to nic nie zmienia sytuacji.

— Słuchaj — głos dziewczyny był już spokojny, ale jakiś nerwowy, podeskutowany — coś ci powiem. Ja mam dość takiej tułaczki po polach, a w zimie po ścieżkach w śniegu po pas. Ja chcę pójść do kina, do teatru, na kawę. I z kim? Z tobą nie mogę, a z innymi, to zaraz się awanturuję.

— Są koleżanki — wtrącił.

— A z koleżankami koledy i tak w kółko.

— Chciałem nieraz iść z tobą, ale ty nie chcesz, boisz się.

— Nie boję się, ale mam dość plotek, a szczególnie nie chcę mieć wydrapanych oczu przez twoją mamusię. I tak za dużo już mówią.

— Przesadzasz.

— Nie przesadzam i dlatego cię tu ściągają. Chcę ci powiedzieć, że mam tego dość: albo koniec, albo ślub. Wybieraj. Chłopiec zbladł.

— Rób jak chcesz — ciągnęła dziewczyna — ale ja mam dość ludzkiego gadania o wiecznym i tajnym narzeczeństwie, mam powyżej uszu pogroźki twojej matki i ciotek, jeszcze brakuje, żeby mnie ksiądz proboszcy wyklął z ambony.

Chłopiec milczał. Przełknął ślinę i milczał dalej. Patrzył w piasek. Słońce rzuciło czerwone plamki na jego słabo opaloną, a teraz pobladłą i spoconą twarz.

Dziewczyna zaczęła cicho chichotać.

— Zatkaj cię! Nie spodziewałeś się oświadczyć?

Takich oświadczeń — powiedział wolno chłopiec. — Przecież ja sam chciałbym tego, ale jak to teraz zrobić, za co, gdzie będziemy mieszkać? Trzeba wyjechać, rodzina nie da nam żyć.

Miał jakąś głupią minę, mówił z wysiłkiem, jak by nie był zupełnie przekonany o prawdach, które wypowiada. Dziewczyna zauważyła to, przestała się śmiać.

Nawet nie klapnięcie koła mnie? — zapytała, siadając na plażowej sukience.

Oczywiście — ciągnęła dalej, gdy znalazł się koło niej — masz rację. Ale ja myślę, że najlepiej będzie inaczej: postawimy twoją rodzinę przed faktem dokonanym, wtedy będą musieli się z tym pogodzić, może nawet się przeproszą. A moja rodzina się nie liczy, ciotka nie ma nic do gadania, ojciec z Anglii nie przyjedzie.

Chłopiec zmarszczył czoło. Coś tu nie jest całkiem w porządku — pomyślał dziadek, przy czym poczuł nagle, że pęcherz to chyba mu za chwilę pęknie. Śliwowica, cholera — sięknął i sięgnął po feldflaszkę, niech się dzieje wola boska.

Dobrze — odezwał się chłopiec — masz rację, oczywiście, masz rację. Bardzo cię kocham, możemy i bez rodziców wziąć ślub, po cichu. Chyba da się to zrobić, znam się dobrze z potrzebnymi ludźmi. W listopadzie, gdy stać mnie już będzie na to, będziemy małżeństwem.

— W listopadzie...

Chciała coś powiedzieć, może wybuchnąć, dziadek zauważył jak nerwowo wylamuje palec, ale nagle powstrzymała się. Uśmiechnęła się i objęła chłopca za szyję.

Jakiś ty kochany. I nie pocałujesz mnie nawet?

Pocałował ją. Lekko pochyliła się w tył i położyła na piasku. Całował ją w usta, szyję, oczy, delikatnie i jakoś tak niezręcznie. Dziadek mruzczył pod nosem: partacz cholera, bez ognia i bez, panie, tego. I sięgnął jeszcze raz po śliwownicę.

Dziewczyna objęła chłopca w pól i szepotała mu coś do ucha. Długo. Nagle stało się coś, co dziadka zupełnie wytrącało z równowagi. Chłopiec szarpnął się z kobiecych ramion, odskończył i stanął czerwony i spocyny, nie mogąc nie wykrztusić. Chciał coś powiedzieć, krzyknąć, ale nie mógł. Dziewczyna zerwała się, poprawiła stanik, który obsuwał jej się z piersi. Wtedy chłopiec poczuł wyrzucać z siebie bezładnie słowa, zacinając się:

To tak, to słuchaj, ja jestem uczciwy i męczy się, a ty mówisz, żeby iść z tobą do cienia, że jesteśmy rozebrani i że prawie małżeństwem, a mieszkać i tak nie mamy gdzie, to tak w krawki, i że ślub możemy wziąć zaraz, choćby jutro, bo ty masz forsy. Ja nie chcę twojej forsy, nie chcę iść w krzaki, jak z pierwszą lepszą!

Dziewczyna, blade zupełnie, krzyknęła:

— Stul głębę, ludzie usłyszą!

Niech słyszą, niech słyszą wszyscy. Ja już wiem, dawno się domyślałem, cheesz nagle wyjść za mąż. Jak chciałem tego rok temu, to się śmiałaś, ciągle odkładałaś odpowiedź, bo się zaczynał romansik z panem kandydatem na inżyniera, a teraz, kiedy cię rzucił, teraz nagle szybko w krzaki i ślub, rodzina przed faktem dokonanym, ślub pewno za jego pieniądze, o Boże, wiem już, wiem, ty z nim się przespałaś, a nazywałoby się, że to ja...

Milcz chamie! — histeryczny głos dziewczyny zwał się w jedno z trząskaniem policzka. Drugi, trzeci, czwarty. A chłopak stał jak skamielnięty skazaniec z odrzuconą uderzeniami głową.

I dziadek nie strzymał. Wyskoczył z zaroił, zachybotał nad wodną przepaścią i wrzasnął histerycznie:

— Oddaj, oddaj! W pysk ją w głębie, bij, zabi! Hura, hura, hura! — Dziadkowi przypomniawszy się wojenne czasy i darł się jak opętany.

Dziewczyna błyskawicznie porwała sukienkę, zepchnęła kajak na wodę, wskoczyła do niego i gwałtownie zaczęła włosiwać w dół rzeki, nie patrząc, skąd dobiega głos. A chłopiec uciekał w popłochu w krzaki na wyspę, ogłupiały zupełnie i ogłuszony bicie i krzykiem.

Tylko postać w niesamowitym kapeluszu podskakiwała w krzakach na wysokim cyplu jak wściekły zły krasnoludek i wrzeszczała dalej swoje.

Nagle dziadek spostrzegł, że jest sam, splunął, zaklął, złapał wędkę i prowianty, z flaszką golnął resztę, do dna i zapomniawszy nawet o pęcherzu pedził jak szalony przez pola ku miastu.

Droga przez wierność

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

JAKŻE odkrywca bywa rozwiązaniem proste — oto jeden z truizmów godnych przypomnienia z okazji inscenizacji „Horsztyńskiego”, którą zaprezentował u nas wybitny reżyser Józef Gruda.

Znane są fazy tej tragedii. Napisała w r. 1835, ogłoszona drukiem w 1866, dotarła na scenę w 1879. W ciągu stulecia dzielącego chwilę obecną od momentu opublikowania „Horsztyńskiego” miał on ogółem pięć premier. Ogromna to dysproporcja w stosunku do liczby inscenizacji, powiedzmy, „Mazepy”, „Balladyny” czy „Marii Stuart”. Na pewno zadziwiała tu na czas dłuższy cenzura instytucjonalna i klasowa, „Horsztyński” bowiem jest w dramaturgii Słowackiego, jak trafnie zauważył Leon Kruczkowski — dziełem najbardziej konsekwentnie ujmującym zagadnienie walki narodowo-wyzwoleńczej w ściślejszym związku z problematyką społeczną. Ale nie koniec na tym: powodem niechęci kierownictw teatralnych do znakomitego utworu było też jego sławetne niedokończenie i niewykończenie.

Brak kilkunastu kart w rękopiśmie pozostałym wśród papierów pośmiertnych poety zaważył w dwojnasób niekorzystnie na losach utworu wobec panowania konwencji teatralnej wymagającej niedużego znaczenia finałizowania akcji — konwencja ta, gdy nie odrzucała od wystawienia „Horsztyńskiego”, stawała się bodźcem do uzupełnień, które, jakkolwiek opracowywane z pietyzmem, były w przedstawieniach elementem niewątpliwie degradującym, bo wprowadzały obce motywy bynajmniej nie kongenialne.

Dopiero w trzydziestych latach naszego stulecia kilka teatrów zdecydowało się wystawić tragedię bez uzupełnień. Po wyzwoleniu taka inscenizacja realizował Łódzki Teatr Nowy w 1951 r. Ostatni byłoby można spodziewać się, iż reżyserzy nie zważają już z tej jednej właściwej strony, gdyż w warszawskim Teatrze Polskim nie cofał się w r. 1953 znowu do koncepcji „uzupełniania”. Tym razem uzupełniono „Horsztyńskiego”

Epilogiem skonstruowanym z fragmentów „Odpowiedzi na „Psalm przysięski”. Oczywiście w porównaniu do innych inscenizacji, zbanalizowanych obcymi wtrętami, pomysł zakończenia spektaklu tekstem samego Słowackiego spoza tragedii wyglądał stosunkowo nowator, a jednak było coś sztucznego i wymuszonego w takim „przypięciu” rozwoju ideologicznego poety o cale dziesięć lat.

Po tym niesłusnym odejściu od ustalającej się już dobrej zasady: „Bez przybudówek!” — powracająca do niej inscenizacja Józefa Grudy ma walor zdecydowanego stwierdzenia, że najprostszym i najcelniejszą rozwiązaniem problemu wystawienia „Horsztyńskiego” jest wzięcie autentycznego tekstu tragedii na rzetelny warsztat reżyserki, gdzie teatralne środki wyrazu staną za uzupełnienia słowno. Wprowadzić przy takim postępowaniu pozostały w utworze Słowackiego pewne sprzeczności szczegółowe, lecz powinny one w gruncie rzeczy niepokoić tylko historyków literatury — bo dla istoty tragedii mało ważna jest np. kwestia, czy Szczępnym i Amelią pochodzą oboje od jednej matki, skoro mniemanie, iż pochodzą od jednego ojca, rzucił już fatalny cień na ich niewyprzedzanie, ale nienaturalną egzaltację miłosną. Tak samo zbędne są dla właściwej recepty spektaklu dociekania wieku Salomei w dobie insurekcji kościuszkowskiej albo daty jej ślubu z konfederatem barmkim. Wydaje się natomiast, że właśnie niewykończenie „Horsztyńskiego” jakby nadawało jego fakturze — rzecz paradoksalna! — cechy nowoczesności, lubującej się przecie w aluzjach i niedomówieniach. Upodabnia się on niejako do rzeźby niezupełnie wydobitej z marmuru bryły.

Zresztą tak wąż erotyczny związaną z Amelią, Salomeją i Maryną, jak i porachunki osobiste Hetmana z Horsztyńskim, przypominają nieco „Istotury”. Zagaścza ona atmosferę tragiczną, w której żyje główny bohater, syn Hetmana, Szczępnym, zmagając się ze swym przemożnym konfliktem wewnętrznym, źródło zaś tego konfliktu — sprzeczność pomiędzy więzami stanoowymi i rodzinnymi a świadomością obowiązku moralnego wobec kraju i narodu — wylania się z życiowych powikłań z pełną wyrazistością jako naczelna sprawa utworu. Na tym chyba też polega największe osiągnięcie inscenizacji Grudy, idącej wiernie za tekstem Słowackiego.

Tutaj jednak wypada powiedzieć, że Gruda z kolei nie oparł się pokusie wprowadzenia paru strojów na początku i na końcu spektaklu. Z „Beniowskiego”. Przyznaję — wdzięk poetycki owej „klamry” jest niezaprzelazny, przeto wszelkie zarzuty z tego tytułu graniczą z nietaktem. Przekroczyć wszakże tę rzykowną granicę, gdyż wydaje mi się stanowczo, że pierwszy pasus („O Melancholiol...”) został dobrany niefortunnie. Nie potrzebujemy go przypominać, jest szeroko znany. Mowa tam o polskich baj-

ronistach. Otóż przypuszczam, że zasadniczym powodem wystawienia u nas „Horsztyńskiego” musiała być chęć potraktowania rozterek duchowych Szczępnego jako metafory stanów psychicznych naszych młodych „gniewnych”. Jeśli tak, to szło się nie udało. Przede wszystkim postawa Szczępnego nie jest wcale imitacyjnie bajroniczna, wynika ona z realnie tragicznej sytuacji Polski i jego osobistych komplikacji życiowych. Co zaś do czynów i restów naszych pseudogniewnych, są one raczej produktem prymitywnego hedonizmu, że tak ozdobnie się wyrażę o tych brzydkich sprawkach.

W związku z powyższą refleksją nasuwa mi się już na tym miejscu krytyczna uwaga o ustawieniu roli Szczępnego. Od pewnego czasu weszło w modę odmładzanie Hamletów, a Szczępnym, jak wiadomo, jest polską wersją szekspirowskiego bohatera (Hamletem ukształtowanym polskimi koniunkturami), tedy został odmłodzony. Sądzę, iż w zasadzie sam proceder należy pochwalić, bo daje on młodzieży aktorskiej szansę, jakiej nie miała wówczas, gdy Sara Bernhardt grała Orłątka Rostanda w wieku lat siedemdziesięciu. Zresztą powiedzmy z reka na sercu, czy wielu dziś posiadamy dojrzałych Hamletów? Przy tych wszystkich racjach, powierzenie postaci Szczępnego Mirosławowi Gruszczyńskiemu trzeba jednak uznać za pochopne. Ten aktor niewątpliwie bardzo obiecujący — ualentowany i ambitny — nie jest jeszcze w stanie udźwignąć roli o tak dramatycznym napięciu, zwłaszcza w końcowej części tragedii. Wyręcza się więc, jak może, naśladowaniem Oliviera, uzupełniając swój doskonały wzór niespokojnym rozbieganiem nastolatka. Nie dość bogaty głosem nie ułatwia mu zadania.

Kontynuując analizę inscenizacji od strony wykonania aktorskiego wypadnie przyznać palmę pierwszeństwa Andrzejowi Gazdeczce, który stworzył bardzo interesującą, wielopłaszczyznową postać Karla. Jego dowcipne gesty ilustracyjne w scenie z Księżką, przejecha — tu i w akcie II — od niefraobliwego figlowania do niemal niefrafelizmu były więc wirtuozeria.

Postać Hetmana Kossakowskiego jest bezsprzecznie dużym sukcesem Włodzimierza Wisniewskiego. Grał on z właściwym sobie temperamentem scenicznym, potęgując niekiedy groź kontrastowym wyciśnięciem. Nieszczęśliwy spektakl nie znalazł przeciwnego oparcia w postaci Horsztyńskiego, którą Jansz Cywiński nie tyle dyskretnie wyciszył stosownie do wieku i kaletwa, ile odbarwił tak, że przelomująca scena przed samobójstwem byłego konfederata barskiego pozostawiała widza obojętnym. Wzruszała za to

Jedna inscenizacja — dwie recenzje

Jolanta Bohdal jako „Salomea, melancholijna i lojalna, siłąca się zainaleze na pogodę”. Zawiodła trochę tym razem Elżbieta Gaertner poza sceną z Hetmanem w II akcie (ojciec kochanym a nie kochającym). Jej Amelia wydawała się zbyt pasywna. Maryna, owszem, „płochę dzwiczę, ale ustawienie czwartej postaci kobiecej nasuwa pewne wątpliwości. Tekst przecie sugeruje, że zona in-tendentna Sforki (Maria Szczęc-ćhówna) jest starszka. Tutaj zabieg odmłodzenia zatari rysunek. Nieuczestniczący też połącznięciem reżyserakim było wprowadzenie tej bijalogowy na ucztę dworską, mają-ća charakter ordynarnej pijaloty i skąd rozsądnej Małgorzacie do intrzy politycznych).

Gdy już jesteśmy przy reżyserkich innowacjach bezekstowych, skrytykuj-my także pojedynek ślepego Horsztyń-ćskiego z Hetmanem. Nie ma tego w tragedii i powiedzmy otwarcie — scena budzi wręcz niesmak. Odwrotnie, za szczęśliwy pomysł uznać można „rod-ćzapywanie” złota przez dworaków w akcie V. Ale wróćmy jeszcze na chwilę do postaci męskich. Weszło rozegrali dygresyjną po szekspirowsku scenę Włoid Lisowski (Sforka) i Tadeusz Bourdo (trombonista Garnosz), zresztą i gdzie indziej Lisowski był na wysokości zadania (tylko ten wykoncypowany na żółto kostium!). Bardzo się podobał Leopold Matuszczak (Ojciec Prokop) w swym szczyrem zatrokanlu u Salomeę. Natomiast zbyt mało zającojny drapieżności wykazał „karłowicz” Ksiński (Jerzy Smyk). Miło wresz-ćcie stwierdzić, że rola Świętosza,

wiennego slugi Horsztyńskiego, przyniosła Maciejowi Polaskiemu powodzenie. Zbigniew Szełeman i Zbigniew Czeski różnicowali w miarę możności postacie Wyrwika i Skowicza. Osobnym zagadnieniem jest postać Nieznajomego, bodaj jedyną niedopracowaną autorskie, które daje się poważnie we znaki przy inscenizacji „Horsztyńskiego”. Co właściwie reprezentuje Nieznajomy? Wystąpił on na początku jako rewolucjonista, nieomal zakonspiro-ćrowany Jasiński, a na końcu tragedii podejmuje się misji czuwania nad osobą zdraycy Kossakowskiego. Zaiste Marian Drozdowski dokonał cudów odtwarzając tę dwu-ćznaczną figurę z umiarem i tak-ćtem. Recytował poza tym kultu-ćralnie strofy z „Beniowskiego”.

Dobrym sprzymierzeńcem Józefa Grudy okazała się brzoja „elek-ćtronowo” muzyka, piękne spójno-ćliczne obrazy (opracowanie wła-ćnie przy współpracy Stanisława Pawluka).

Majestatyczna, symboliczna i praktyczna dekoracja zaprojektowa-ćta ułanowany scenograf Janusz Warpechowski. Zmiana ele-ćmentów odbywała się sprawnie, a nawet efektownie, przy połowicz-ćnym zaciemnieniu zapewniającym „rembrandtowskie” refleksy na ubi-ćorach obsługi. Godziw w sumie i ambitny wy-ćsilek Teatru im. J. Osterwy zostane z pewnością doceniony nie ty-ćlko przez działające społeczeństwo lubelskie, ale i przez historyków scen polskich.



W. Wisniewski — Hetman Kossakowski, A. Gazdeczka — karzeł
Fot. L. Jaskiewicz

Horsztyński à la Słowacki

ANDRZEJ HAUSBRANDT

ŚLAWNA pani Cwierciakiewiczowa, autorka znakomitych podręczników kulinarnych, pisywała, że „raki lubią być parzone wrzatkami”. Niekiedy odnoszę wrażenie, że nasi inscenizatorzy holdują za zasadę: klasycy lubią być wystawiani „z kluczem”. To znaczy wręcz odwrotnie niż to sobie zamyślali, zapisując gęsimi piórami karteluszki w winowego papieru. Dzięki temu mieliśmy antyinstalinowski Szekspira, klasowego Moniuszki, antybohaterkę Zeromskiego, awangardowego Słowackiego i wielu, wielu innych. Wszystko to nie są pomysły z gruntu zle ani szalone. Stosowane jednak na dłuższą metę mogą okazać się po prostu nudne. Jak każda maniera. Ostatecznie i „Ryszard III” i całe „Kroniki królewskie” wielkiego Stradfordczyka mogą być głosem w dyskusji o władzy w ogóle i tzw. kulcie jednostki w szczególności. Jeśli ktoś bardzo chce może wystawić „Hrabinę” z Jakobinami i „Kuzniczkę Kolutajowską”, a „Halke” pod rebelie Kostki Napierskiego. Przeszają nas dziwne „Popioły”, w których Polacy na San Domingo przypominają najmniejszych Czombego. Był Słowacki kubistyczny i surrealistyczny, tatarski i abstrakcyjny. Chwała Bogu nie był w stylu pop-artu, ale jeszcze poczekał, jeszcze się nie spieszy... reżyserowie mają inwencje. Wszyst-

ko to jest dobre i nowe, interesujące i ciekawe, ale do pewnych granic. Później czy dalej — staje się nudne. Zwyczajnie nudne. Dlatego też jestem wdzięczny panu Józefowi Grudzie, że wystawił w Lublinie „Horsztyńskiego” a la Słowacki. Bez klucza.

Gdy się nad tym głębiej zastanowić, trudno wyjść z podziwu, jak mu się to udało. W jaki sposób zdołał obejść liczne pułapki i pozostać niezłym na tysiącach pokus? Bo proszę sobie uświadomić: frustracja, wyobcowanie, alienacja, kompleksy, podteksty, parabole, symbolika — płaczą się w całej pięćcioaktowej (choć bez zakończenia) tragedii. Biedny Szczępnym Kossakowski — to już nawet nie polski Hamlet, ale sam young angry man; Amelia tłumni zarodki kompleksu Edypa; Horsztyński przegrany powstaniec (uwaga: temat akowski) szuka rekompensaty; Sforka rżnie w XVIII-wieczną „Zgaduj-zgadule”; Maryna — żywy obraz feudałnego ucisku w klasowo-seksualnym aspekcie... i tak bez końca. A Gruda nie! Gruda za Słowackim. Autor może nie najgorszy, konstrukcja dramaturgiczna także (jak uwiżyć, że ten człowiek nie widział na scenie żadnej ze swych sztuk?!). Język dla Modrzejewskich, Solskich i Jaraczów. Słowem nie dodać i nie ująć. Czyli — zgodnie ze stosowanymi w naszym życiu regułami — wszystko przemawia za tym, aby przykrawać, przestawiać, dopisywać, zmieniać i poprawiać pasując zamek (oczywiście Hetmana Kossakowskiego) do reżyserkiego klucza. Tymczasem Gruda, który w rzeczywistości jest bardzo nowoczesnym reżyserem, okazał nieomal heroiczną umiarkowanie. Oparł się ówczesmu pędowi mody i zrobił dzięki temu solidny spektakl. Spektakl teatru Słowackiego. Właśnie nie Gruda tylko Słowackiego. Szlachetna to skromność. Szlachetna i niecodzienna.

Gdy zastanowić się, co przetrwało żywe, żywe i aktualne, w tragedii Słowackiego, przyjdzie chyba stwierdzić, że właśnie to, co ludzkie. Owszarni romantyzmy wstępnościami chłopa niedolny zdradził ojca dla ojczyzny, ani ojczyzny dla ojca, owa piękna kobieta, skazana nie dość, że

na małżeństwo z rozsądkiem, ale w dodatku ze zgorzkniałym i obdużonym starcem-kaleką, napełniały dumą i władzą hetman, który nie umiał dobić się uczucia własnego syna. Dworskie maleńkie ambicje, większe ambicje, magnackie podziuchy — wszystkie codzienne, znane dobrze wczoraj i dziś, takie bardzo polskie a może nawet więcej niż polskie, bo naprawdę ludzkie.

Pozostało jeszcze coś — coś, co tak pięknie odkryło przed nami przedstawienie: widzenie świata oczami ludzi przed półtora nieomal wiekiem. Powiadamy: Szczępnym — Hamlet. Polski Hamlet. Nie wiem, czy tak bardzo polski, wiem, że romantyczny. Nie Hamlet z Szekspira, ale z wyobrażenia romantyków o Szekspirze. Hamlet transponowany. Hamlet przeniesiony z elżbietańskiej Anglii w romantyczną, emigracyjną, na paryskim wydaną bryku Polskę. Mirosław Gruszczyński z dużym wycuciem zagrał te postaci. Zagrał — powiedzieliby — bezbiednie, gdyby nie pewna nadrućliwość, gdyby nie nadmiar energii, demaskujący się tam, gdzie powinniśmy ujrzyć tylko nadmiar nerwowości. Ale to już raczej wina nie tego młodego i obiecującego aktora. Tu należało oczekiwać większej uwagi i ostrzejszej dyscypliny ze strony reżysera.

Sukcesem aktorskim przypieczętował „Horsztyńskiego” Andrzej Gazdeczka w roli Karla. Sukces to zresztą niezależny od narodowego umiłowania w Polsce do blaznów; w jednym kraju, który do symboliczno — historycznego panteonu wprowadził królewskiego wesolka — Stańczyka. Gazdeczka — na szczęście nie drapuje się na jagielońskiego trefnisia, co już jest dowodem samodzielnego myślenia. Prezentuje konsekwentne, świadome własnych środków aktorstwo, umiejętnie operuje tekstem, gestem, zna swoje możliwości głosowe, potrafi być oszczędny nie oszczędzając się. Jego pantomima nie narzuca się, nie odstaje od spektaklu, a zostaje podporządkowana całości przedstawienia, wtopiona w nie, choć jest przeciwieństwem. Wydaje mi się, że Gazdeczka w swych propozycjach jest aktorem bardzo no-

woczesnym, dojrzałym do teatru totalnego. Teatru scalającego różne gatunki sztuki w jeden, doskonały stop.

Rozdzielanie pochwał i nagan, wystawianie laurek i stopni należy do najprzykrzych i najbardziej groźnych w sztuce obowiązków recenzentki. Obowiązków, z których jednak nie sposób się wykręcić, nie sposób zrezygnować. Tym bardziej, że niezależnie od tego, co i ile z tego o recenzentach powiadają aktorzy i reżyserzy, tak jednaki, jak i drudzy oczekują właśnie ocen. Ocen, których ferowanie jest tym trudniejsze, im krótszy jest kontakt krytyka z aktorem. Cokolwiek by się wtedy pisało, istnieje zawsze obawa, że ostatecznie będzie to sąd przypadkowy, uwarunkowany tysiącem okoliczności pobocznych.

Siedząc na „Horsztyńskim” nieustannie usilowo kontrolowałam własne sądy i wprowadzałam do nich nieprzeliczone poprawki. Na premierze, na warszawskich krytyków, na klasyczny repertuar, na względy obsadowe, na... Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze. Niektóre z tych poprawek sąd mój zaostrzały, inne łagodziły. Pani Jolanta Bohdal np. straciła na tych poprawkach, szczególnie straciła, kiedy następnego dnia zobaczyłam ją w musicalu Agnieszki Osieckiej. Jej możliwości aktorskie w tym drugim przedstawieniu (jak bardzo różnym!) wskazują na to, że mogła w „Horsztyńskim” dojść do ciekawszych rezultatów, mniej stereotypowo traktując rolę Salomei. Tej — moim zdaniem — najtragiczniejszej postaci całej sztuki (młoda kobieta, przykuta z braku posagu do stetycznego inwalidy-patrioty, omutana romansem z hamletyzującym królewskim magnackim, pozbawiona jakiegokolwiek oparcia — zdana na samotność i w samotności idąca). Pani Bohdal miała wszystkie atuty by wygrać w roli Sally coś więcej niż placziwy sentymentalizm, by pokazać w niej kobietę pełną, kobietę, która nie chce i nie potrafi zgodzić się na rezygnację ze wszystkiego. Niestety, z autów tych nie skorzystała. Grała na punkty, a nie na robra. Gdybym nie widział tej aktorki w Innej sztuce, uważałabym — nie znając jej możliwości, że jako Salomea

była dobra. Teraz wiem, że była nie dość dobra. Mogła i powinna być lepsza.

Istnieje w języku dziennikarskim takie wysłowione określenie „poziom przedstawienia był wyrównany”. Oczywiście nie to nie znaczy, a najczęściej znaczy, że po prostu przedstawienie było nudne. Wydaje mi się, że przedstawienie lubelskie nie było nudne, a poziom jego był zróżnicowany. Dwie role (i to wśród młodych aktorów) wysoko notowane i ogromna większość ról reprezentujących teatr z prawdziwego zdarzenia. Ról uczelnie zagranych, rzetelnie wypracowanych. Ról nie odkrywczych, nie rewelacyjnych, nie takich na zapamiętanie do końca dni swoich, lecz tych, co stanowią codziennych chleb i teatr i aktora.

Dość tradycyjnej tezie polsko hamletowskiego „Horsztyńskiego” dał się ponieść scenograf, pan Janusz Warpechowski. Zaprojektował on doskonałe (poza dwoma) kostiumy i bardzo nieudane dekoracje. Zaczniemy od zleży, by skończyć na pochwałach. A więc litewski Elisor hetmana Kossakowskiego i pozostałe miejsca akcji zbudowane na zasadzie stodoły-monstre z kupą nieznośnej symboliki. Szczępnym chadza po schodach, prowadzących na coś w rodzaju sasięku, ponad którym unoszą się orły: jedno i dwugłowe, oraz na horyzoncie majająca trzy krzyże, niczym podzwonne „Dziadów” w sławnej inscenizacji Schillera i Pronaszki. Do tego wszystkiego złote biurko Hetmana w stylu szaber z Ziem Odzyskanych. Zupełnie odmienny — i o ileż lepszy — jest Warpechowski kostumer. Tu trafia w przysłowiową dziesiątkę z wyjątkiem może zbyt bogatego kostumu dla Horsztyńskiego (gdzie mu tam do srebrzystych lam, bankrutowi...) i żołnierskiego — niczym z „Wiktoria i jej huzara” — ubioru Maryny. Te soczyste, dojrzałe i jakże sece niczne kostiumy mogły zagrać (i na pewno lepiej by wyszły) na sąmym kotarach. Bez orłów, krzyży i zwalstych biurek, czyli bez akcesoriów, wymagających klucza. Owego klucza, z którego na szczęście zrezygnował reżyser, wystawiając Słowackiego a la Słowacki, wbrew modzie, ale zgodnie z racjonalnym myśleniem.

Odpowiedzi Redakcji

A. G. w Radomiu. Dziękujemy za miłe słowa. Wierzę, że pan, choć nie do druku, Stanończycowi za wiele takich metajór.

E. Z. w Radomsku i J. K. w Warszawie. Może coś wyberzemy.

J. T. w Lublinie. Listy do Szczepanika drukowaliśmy bez żadnych zmian, a więc i z błędami ortograficznymi, co jest naszą zażywaną wadą.

J. Z. w Rzeszowie. Najlepszy utwór to ten, który zaczyna się od słów: „A jesien starszy...” w sumie jest Pan jednak na etapie Modeli Polak!

J. K. w Dąbrowie Białostockiej. Piśmo Pana w wierszu: „Najcieńszej śnie o aniołach z podziemnym gardłem, lub o trupie leżącym na schodach”, nawet słachetna intencja, która objawia się w dalszej części utworu, nie przekonuje do całości, siódminkowo najlepiej są „Dziwi”, ale też jeszcze nie do druku.

F. D. w Jarosławiu. Wydaje się, że nie zrobił Pan postępów od chwili, gdy debiutował Pan w Kameniu.

S. C. w Przemyslu. Opowiadanko „A E. A. Poe. Chwyt ograny. W doświadczeniu wykazuje Pan nieznaną psychologię i psychiatrię. Panna mogła być typem historyczki lub psychosensacyjnej, czyli posiadającej cechy psychiczne konstytucjonalne, aktywizowane tylko przez określone środowisko społeczne (jak to przynajmniej wyjaśnia neopsychologia).

Z. B. w Zamościu. Pana wiersz pt. „Kamień szalenstwa”: „Grom uderzył w pierś pełną melancholi, warknął w pierś duszy, śmętny wiatr owiał szczerciołłę od brudu policzki. Wszystko parło na zewnątrz — Tam gdzie ciemność i obłęd. Skok wartkich myśli nie udarł się — koniec bliski”. Ten wiersz, jak i pozostałe, również nie ujdą się.

B. Z. w Zamościu. „Noc” może wydrzekuje „Świerszcz”, pozostałe utwory nigdzie nie mają żadnych szans.

D. S. w Poznaniu. Stwierdza Pan w liście do redakcji: „Przebywając na Rzeszowszczyźnie byłem oczarowany, czarująca tego regionu, — egzotyka, czarująca porusza wyobraźnię, — może tylko dla mnie, ludzi spośród a może bardziej dla mnie niż dla kogoś innego. Ze wspomnień narodziło się coś w wielkich krańcach...”. Niestety, to „coś” nie nadaje się do druku.

„Marta” w Betzycach. Piśmo Pani „Marta” to co wysyłam jest zwykłą smutką, jednak próbuję i wierzę, albowiem wiara góry nawet porusza”. Nas nie porusza, zwykła smutka to nie jest, ale zwykła gramofonia.

A. B. i Z. M. w Toruniu. Tylko sportywnie możemy coś zamieszczać z waszego regionu. „Kamena” przede wszystkim porusza problematykę wsensownych województw.

H. M. w Lublinie. Sądzimy, że mogłyśmy dać debiut. Prosimy jednak o większy wybór i ujawnienie nazwiska.

Ba-ba. Z zainteresowaniem przeczytaliśmy Pani uwagi na temat klubu. W Pani wierszach są pewne nieścisłości, ale w całości jeszcze żaden z nich nie nadaje się do druku. Może większy wybór?

W. N. w Włocławku. Może wycozamy „Staruszkę”.

B. J. w Filzju i J. K. w Jedlni. Niestety, nie do druku.

J. M. w Lesznie. Nie będziemy, jak Pan pisze, hamować się przy ocenie Pana utworu. Słaby.

od BIEBRZY NO BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

W Białymstoku obradował V zjazd Białostockiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, który podsumował 10-letnią działalność BTS-K. Dużo miejsca w dyskusji poświęcono rozwojowi oświaty i kultury wśród mniejszości białostockiej zamieszkałej w Polsce. Na zjeździe wybrano nowe władze Towarzystwa: przewodniczącym Zarządu Głównego BTS-K został Wincenty Skłubowski, wiceprzewodniczącym Michał Jamiński, sekretarzem Włodzisław Samojlik.

Po Lublinie, Rzeszowie i Kielcach zawiązała także do Białostocka wystawa malarstwa, rzeźby i grafiki artystów z czterech sąsiednich województw: lubelskiego, białostockiego, rzeszowskiego i kieleckiego. Wystawa spotkała się z dużym zainteresowaniem publiczności.

Ponad dwa tysiące mieszkańców woj. białostockiego obejrzało już przedstawienie „Króla Rogera” Szymanowskiego i „Halke” Moniuszki w Teatrze Wielkim w Warszawie. Organizatorem wycieczek jest spółdzielnia turystyczna - wypożyczynkowa „Gromada”.

Z polityczną inicjatywą wystąpił członek Białostockiego Towarzystwa Fotograficznego. Zamierza on zorganizować archiwum zdjęciowe, gromadzące unikalne fotografie domów i ulic, które w związku z przebudową Białostocka ulegają likwidacji.

W Pogorzałkach (pow. białostocki) od kilku lat działa społeczne ognisko muzyczne, które ma duże osiągnięcia w popularyzacji muzyki i pieśni ludowych. Równie pomyślnym dorobkiem może się pochwalić zespół chóralny istniejący przy Wiejskim Domu Kultury w Pogorzałkach, który ostatnio otrzymał nagrodę ministra kultury i sztuki.

(5)

KIELCE

W Pniewowie przy porządkowaniu rynku znaleziono szkielet kamieniarski z XV wieku, którym postugwał się prawdopodobnie ówczesny budowniczy zamku Olesnickich. Szkielet ma formę kwadratu, wykonany jest z pniezowskiego piaskowca, przedstawia szkic okna zamku, orta oraz rycerza w zbroi. Obecnie znajduje się w Muzeum Świętokrzyskim w Kielcach.

LUBLIN

W pierwszej połowie maja studenci urządzają tradycyjne — szkoda, że nie co roku organizowane — Kozienalia. Połączone będą z obchodami Tysiąclecia oraz Dniem Zwyczajstwa. Przewodniczącym Prez. WRN mgr Paweł Dąbek przyznał studentom specjalną dotację.

Kilku działaczy kulturalnych wystąpiło z oryginalną propozycją, aby raz w roku na jeden lub kilka dni reaktywować Rzeszopolita Babinię. Miałoby to być zjazd ludzi z dużym poczuciem humoru, co w rodzaju święta satyry i żartu.

W okresie Dni Lublina zostanie zorganizowana wystawa plastyków z Modeny. To dalszy etap nawiązywania coraz ściślejszych kontaktów między obu miastami.

W starrych łochach pod ul. Królewską w Lublinie odkryto swego rodzaju fenomen natury: kolorowe stalaktyty.

Lecznicy ponad 1100 słuchaczy na Uniwersytecie Robotniczym ZSM w Zamościu. Szczególnym zainteresowaniem cieszą się kursy zawodowe.

Lubelskie środowisko plastyczne, które — jak pisaliśmy obszernie — obchodzi 30-letnie istnienie ZPAP, urządzi w tym roku trzy wielkie wystawy w innych środowiskach: w Warszawie, Sopocie i Opolu.

Nakładem Muzeum Lubelskiego ukazują się prace Ireny Buczkowej „Dzieje lubelskiego Zamku”, łączące ze strzępcami w językach angielskim, rosyjskim i francuskim. Zamek powstał na miejscu drewnianej strażnicy, która istniała już w XI wieku.

RZESZÓW

13 prac z zakresu najnowszej historii opublikował w okresie ostatnich 8 lat referat historyczno-archiwalny KW PZPR. Obecnie przygotowuje się m. in. dwutomową pracę monograficzną „Kształtowanie się władzy ludowej na Rzeszowszczyźnie”.

Zespół teatralno-muzyczny WDK wystąpił z premierą 3-aktowej operetki Jurja Milutina — „Trembita”. Kierownictwo i opracowanie muzyczne mgr Kazimierza Fica.

100-osobowy zespół pieśni i tańca WSR przez 12 dni przygotowywał nowy program na tzw. obóz kondycyjny w Przemyslu. Na zakończenie studenci zorganizowali występ w PDK, prezentując kancie ludowe oraz widowisko „Lubelska suita weselna”.

Rada Towarzystwa Naukowych w Przemyslu rozpoczęła przygotowanie do sesji naukowej na temat krajoznawczo-przebudniczej, która odbędzie się w czerwcu. Będzie ona poświęcona z plenum Zarządu Głównego Ligi Ochrony Przyrody.

Oto jak w różny sposób traktuje się kulturę. Powiatowy Ośrodek Instrukcyjno-Metodyczny w Dębliu otrzymał na tegoroczną działalność 99 tys. złotych, a w Łańcucie — „a1” 11 tys. złotych.

(X)

»Anna Karenina« na ekranie

JEDEN z przedstawicieli starszego pokolenia twórców radzieckich Aleksander Zarchi rozpoczyna w wytwórni „Mosfilm” realizację filmu „Anna Karenina” według powieści Lwa Tolstoj. Oto co mówi o swej pracy w wywiadzie z przedstawicielem APN.

— Kiedy ukazała się pierwsza wiadomość, że przystępuje do ekranizacji Anny Kareniny, już po kilku dniach zaczęły napływać do wytwórni setki listów ze wszystkich krańców ZSRR. Ludzie różnego wieku i różnych zawodów składali życzenia, dawali rady w sprawie doboru aktorów, a nawet ujścia poszczególnych scen. Przeglądając codziennie stosy napływających listów poczułem jeszcze silniej, jak wielką odpowiedzialność spada na artystę, który decyduje się na przeniesienie na ekran niemiętelnego dzieła Tolstoj.

Zdaniem Zarchiego dwie największe postacie w literaturze światowej — to Hamlet i Anna Karenina. Poprzez wieki postacie te przenoszą wielką myśl: prawdziwa miłość czy kochać ludzi, czy tworzyć dobro, nie może istnieć w atmosferze obłudy, sprzedajności. Nie przypadkowo „Hamlet” i „Anna Karenina” poszczytali się mogą tak wielką liczbą adaptacji filmowych. Grały Annę — Asta Nielsen, Greta Garbo, Vivien Leigh, marzy o tej roli Sophia Loren.

— W naszym filmie w roli Anny Kareniny wystąpi Tatjana Samojłowa — wspaniała aktorka, tragiczka, dysponu-

jaca — moim zdaniem — wszelkim cechami potrzebnymi do stworzenia tej postaci. Rolę Kareniny zaproponowałem Innokentiu Smoktunowskiemu, którego widowie dobrze znała „Hamleta”. Tam grał rolę młodego bohatera, tu będzie musiał stworzyć postać mężczyzny starszego, doświadczonego. Karenin w powieści ma lat 48.

Rolę Dolly Oblonskiej grać będzie Ija Sawwina, znana z filmu „Dama z piśmiennic”. Próby, które poprzedziły zdjęcia, pokazały wyłostroenny talent aktorki, która potrafi grać osobę znacznie starszą niż jest w liście.

W roli Kitty ujrzymy Nastię Wiertynską. Jej talent ujawniły już filmy „Hamlet” oraz „Wojna i pokój”. Nie została jeszcze obsadzona rola Wroński.

W odróżnieniu od dotychczasowych ekranizacji „Anny Kareniny”, ograniczających się do trójki Anna — Wroński — Karenin, w moim filmie znajdzie się również linia Lewin — Kitty. Chremy ukazał w postaci Lewina pogląd samego autora powieści.

Film będzie szerokokiełranowy, kolorowy. Operator Leonid Kalasznikow i scenograf Aleksander Borysow wiele czasu poświęcili na eksperymenty z kolorem, studia poprzedzające projekty scenograficzne. Chodzi o to, aby odtworzyć epokę — w ubiorach, umebłowaniu. Musieli przewertować tysiące starych książek i pism. Wiadomo, że bohaterowie filmu byli ściśle związani z Francją, z francuską sztuką.

(Kt)

Lublin w Tysiącleciu

(Dokończenie ze str. 3)

Krzyżacki od Bałtyku ziemiami Hiteńskimi i ruskimi a Zachodem. Handel z Litwą dał Lublinowi rekompensatę ze straty poniesione w rywalizacji z Krakowem o udział w handlu południowo-wschodnim. Lublin odgrywał zacieśnienie coraz większą rolę jako centrum rozległego rynku, zwłaszcza od czasu uzyskania od Jagielly w 1392 r. pierwszego przywileju na jarmark. W 1448 r. przywilej królewski powiększył ilość jarmarków lubelskich do 4 rocznie, Lublin stawał się wielkim centrum wymiany i pośrednictwem w handlu również między Wrocławiem a Lwowem. Przywilej królewski z 1450 r. ustanawiał dla handlu ruskiego nową drogę ze Lwowa do Wrocławia i

Poznania właśnie przez Lublin, przekreślając w ten sposób dawny monopol Krakowa w handlu wschodnim. Lublin nabierał stopniowo znaczenia ważnego ośrodka wymiany międzynarodowej, a jarmarki lubelskie sprawiały, że — jak pisał w XVI w. Marcin Kromer — Lublin stanie się „słynny nie tyle obzernością, co pięknymi budowy oraz ruchem handlowym z cudzoziemcami tak chrześcijanami jak i niewiernymi”. Nie lepiej nie mówi wszakże o wzroście znaczenia Lublina w XV w. od słów samego króla Kazimierza Jagiellończyka, który w dokumencie z 1468 r. wskazywał na „położenie, stan i wielkość miasta Lublina, czynnik, dzięki którym zasługuje ono na zaliczenie do rzędu innych najznaczniejszych i najznakomitszych miast królestwa naszego”.

Na wzrastające w XV w. znaczenie Lublina wskazuje też rola zamku lubelskiego, który był wówczas widownią wielu ważnych aktów państwowych. Tutaj m. in. przyjmował król Władysław Jagiello wraz z wielkim księciem litewskim Witoldem postów husyckich Czech, tutaj odbywały się liczne zjazdy polsko-litewskie. Na zamku lubelskim przebywał prawdopodobnie przez pewien czas i pisał niektóre ze swoich dzieł jeden z największych historyków europejskich późnego średniowiecza — Jan Długosz. Lublin w okresie renesansu znajduje oddzielne omówienie.

Henryk Zins

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Redaguje Kolegium: Konrad Bielski, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski.
Przedstawiciele redakcji: BIAŁYSTOK — Stanisław Świerad („Gazeta Białostocka”), ul. Wesolowskiego 1, tel. 37-41. KIELCE — Tadeusz Bartosz („Słowo Ludu”), Plac Obrońców Stalingradu 2, tel. 82-26. RZESZÓW — Jan Grygiel („Nowiny Rzeszowskie”), ul. Zeromskiego 5, tel. 20-31.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i Ruch. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławieckie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, ul. Unieka 4.

Zam. 648, 15.11.66, L-6

Ko-operacja »Termos«

(Dokończenie ze str. 5)

ruszyła pierwsza próbna produkcja, ale oficjalne, uroczyste rozpoczęcie produkcji w przebudowanym zakładzie odbyło się dopiero pod koniec stycznia bieżącego roku. W uroczystościach uczestniczyli przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych, a opinia publiczna została poinformowana za pośrednictwem prasy, radia i telewizji o perspektywach, jakie dzięki wysiłkom i zapalowi wielu osób stworzyły się przed małą lubartowską hutą, jeszcze niedawną skazaną na likwidację. „Aktywizacja małych miasteczek” — i oto jej przykład!

Uplynął miesiąc.

Przyjechałem na reportaż, przeprowadziłem rozmowy, wynotowałem fakty, spenetrowałem teren i oto siedzę w gabinecie kierownika Furtaka, w willi byłego właściciela byłej, małej fabryczki. Przez weekend okno widać cały zakład w nowej — można powiedzieć — krasi, i czekam, co powie Swidnik. Oczywiście nie ma żadnej napiętej atmosfery. Jeżeli nie Swidnik, to znajduje się ktoś inny i dlatego moje oczekiwanie nie ma w sobie nic z pogoni za sensacją.

W „Kurierze Lubelskim” z 11-12 lutego, przeczytałem m.in. takie zdanie na temat huty: „...Na razie dwa wagony termosów o pojemności 0,4 litra każdy, w polistyrenowej obudowie, sprowadzanej z Zielonki, wysłano do Gdańska i Koszalin. Plan produkcji huty w Lub-

artowie na b.r. przewiduje wykonanie 1 mln 400 tys. termosów, tzw. wydajność docelowa zakładu, jaką powinien osiągnąć po dwu latach pracy wynosi 2 mln termosów rocznie. Kierownictwo huty twierdzi, że taką produkcję Lubartów będzie mógł się wykazać już w końcu br...”

To wszystko było i jest prawdą. Ale dzisiaj wiadomo już więcej. Pół godziny temu kierownik Furtak oświadczył po prostu:

— Panie, produkcja leci jak z płatkami, ale co z tego, kiedy ja już mam w magazynach pół miliona gotowych wkładów do termosów, a brakuje do nich pół miliona plastikowych obudów!

— Dlaczego? — zapytałem.

— Proste: kooperacja nawala.

Huta szkła Lubartów produkuje termosy, ale sama nie wytwarza obudowy zewnętrznej. Tym zajmują się jedyny kooperant — zakład w Zielonce pod Warszawą, należący do Spółdzielni „Współpraca” z Wólmina. Współpraca tak jednak wygląda, że zakład może dostarczyć tylko 20 procent obudów. Co robić z pozostałymi 80 procentami? Trzeba szukać dalszych kooperantów. Kooperanci by się znaleźli, ale na ogół nie mają surowca. Zaś pierwszy przydział surowca, jaki otrzymała huta, wystarczają Zielonce na wyprodukowanie dokładnie 50 415 obudów i już 19 lutego spółdzielnia wstrzymała produkcję. Skończył się materiał. Tymczasem huta nie może narzekać na brak szkła, ani brak chęci do pracy, więc do pół miliona zmagazynowanych wkładów dokla-

da się codziennie osiem tysięcy następnych. W chwili zaś, gdy obecny numer „Kamena” znajduje się w sprzedaży, w magazynach huty powinno już być około sześciuset tysięcy wkładów. A tu przedsiębiorstwo „Arged”, które jest odbiorcą termosów, grozi karami umownymi, w biurze leżą zlecenia wysyłkowe „Argedu” na 350 tysięcy sztuk termosów i nie można tych zleceń zrealizować.

Nawala kooperacja, ale chyba i organizacja. Przedstawiciel Lubelskich Hut Szkła wybiera się do Warszawy, żeby wywalczyć następny przydział surowców, ale dlaczego nie pomyślano o tym dwa miesiące temu? Może pomyślano, tylko nie ruszono sprawy z miejsca? W każdym razie fakt pozostaje faktem: produkcja wyprzedziła organizację. Pewnie, produkcja ruszyła w hucie szybciej i o wiele sprawniej niż się spodziewano, ale gdzie planowanie rezerw? „Arged”, swoja polska instytucja wybaczy, zrozumie, ale jak przyjdzie do tych dostaw dla zagranicy?

Albo sprawa transportu. Huta cierpi na brak odpowiedniej ilości samochodów. Dysponuje jedną wywrotką, jedną ciężarówką i jednym małym „Zukiem”. Tymczasem trzeba nieprzerwanie dowozić z Lublina wodę destylowaną, a spod Łodzi i Zamościa — gazy techniczne. Własny tabor nie wystarcza. Więc wynajmuje się, za duże pieniądze ciężarówki z lubelskiego „Transpedu” i z łódzkiej spółdzielni transportowej.

Oczywiście, w końcu znalazł się przydział polistyrenu, znalazł się odpowiednią liczbę kooperantów, kupi nowe samochody i produkcja potoczy się normalnie. Ale ile jeszcze czasu będzie kuleć, na skutek wadliwej organizacji początkowej? Jak długo trzeba będzie odrabiać zaległości, te pół miliona, (a może więcej) wkładów zalegających już magazyny?

Trzeba przyznać, że sprawę kooperacji chyba najbardziej wziął so-

bie do serca Komitet Powiatowy PZPR. Postanowiono doprowadzić do powstania w Lubartowie zakładu, który przejąłby całą produkcję obudów do termosów i dodatkowo — opakowań. Poza korzyściami, jakie odniosłaby huta mająca kooperanta dosłownie „pod ręką”, miasto zyskałoby sto miejsc pracy. Toczony w tej sprawie dość zaawansowane rozmowy, ze Związkiem Spółdzielczości Pracy w Lublinie. Nowy zakład może znaleźć pomieszczenia w zwalniających przez WZGS budynkach. Jeżeli wszystko pójdzie sprawnie, produkcja ruszyłaby pod koniec bieżącego roku. Tylko czy dostarczą na czas... surowców?

Tak wyglądają dodatnie i ujemne strony przedsięwzięcia, w które na kilka lat zaangażowało się wiele osób z rzadko spotykanym zapałem. W ogólnym rozrachunku aktywa są ogromne, ale i pasywa niemałe. Jeśli zaś o pasywa mowa, to słusznie „Kurier Lubelski” poruszył jeszcze jeden problem: „Trudno nie przyklasać zdrowym ambicjom — pisał dziennikarz „Kuriera”. — Trudno nie cieszyć się perspektywami rozwoju huty skazanej nie tak dawno na likwidację. Jest tylko jedno zastrzeżenie. Otóż w Lubartowie nie ma ani jednego inżyniera. Nie negujemy uprawdzenie kompetencji czy dobrej woli całej załogi. Zgadamy się z faktem, że długoletnie doświadczenie to rzecz cenna i cenna. Dobrze by jednak było, by wsparte ono zostało wysoką wiedzą specjalistyczną (...)”

Siedzi więc w gabinecie kierownika Furtaka i czekamy na połączenie ze Swidnikiem. Kiedy zadzwoni międzymiastowa, dowiedmy się, czy tamci wyrażają zgodę na kooperację i czy posiadają odpowiednią ilość surowca. Bo my na razie swojego nie mamy.

Jak się potoczy w najbliższym czasie operacja — „Termos”?

Mirosław Derecki

FRASZKI

BOGUSŁAW WIECZOREK

Konsument ma rację

Racji warunek: na stole trunki.

Dotyczy zarozumiiałych

To rzecz niezdrowa: wada sądowa.

Gdynia

ADAM KOŁODZIEJCZYK

Przyczyny

Smiertelność przyczyny miewa rozmaita: przyczyną jest często nawet AQUA VITAE!

Polanica

STANISŁAW FORNAL

Dwa koncerty

I

Szczery zachwyt.

Nikt nie sarkają: śpiewa boska piosenkarka.

II

Lud ponury. W oczach troska: jęczy piosenKARA boska!

Imiona miłości

Wezoraż: „kochana” i „kochany”, dzisiaj: „powódka” i „pozwany”.

Kielce

KAZIMIERZ ŚLADEWSKI

Cena domku

Drogo go kosztował ten domek z kłombami: cztery lata za ładną i pięć za kratkami.

Gang

To był bezwzględnie uczciwy gang. Żył się z superat, ale nigdy z mank.

Otwock

JAN RYBCZYŃSKI

Nowe budownictwo

Dzisiaj uszy mają ściany, kiedy cienki mur ceglany.

Radom

RYSZARD PODLEWSKI
Romans kierowy

Całował ją w parku, w cieniu przy parkanie, a ślub był mandatem za to „parkowanie”.

Kielce

ROBERT KARPACZ

Odpryski

Jest stu procentowym mężczyzną. Z tego 95 proc. przypada na alkohol.

Najpierw wynosił świadectwo, a później, co się dało.

Narzeką na czasy. Ma na utrzymaniu żonę, troje dzieci i samochód.

21k

Z ŻYCIA WZIĘTE

Złota księga

W NASZYM życiu artystycznym jest wiele godnych uwagi osobliwości. Na przykład taka „Złota Księga”. Nie obejdzie się bez niej żadna wystawa plastyczna. Bogata oprawa, złocony napis, urokliwy format. Znany to widok: w perspektywie sal jak kłomra stolik na wysokości polyska, a na nim rozłożone karty „Złotej Księgi”.

Jakaż to pouczająca lektura! Mam przed sobą taki jeden złocony egzemplarz. Już na pierwszy rzut oka widać, że społeczeństwo nasze jest za pan brat ze sztuką. Opinie na temat plastyki ferują z jednakością swobodą siedmioklasiści i absolwenci wyższych uczelni, starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni.

„Wystawa bardzo mi się podoba, wszystko do gustu dobrane”.

„Wystawa jest śliczna. Więcej takich”.

„Wystawa mi się bardzo podobała”.

„Wycieczka spółdzielni „Syntetyka” została wystawką zachwyconą”.

„Druh Wydmuszek tu był”.

Trudno powiedzieć, aby podobnie pozytywny stosunek do wystawy reprezentowali wszyscy zwiedzający. Nie brak więc zupełnie przeciwstawnych opinii.

„Obrazy te nie są proporcjonalne i bez żadnego wdzięku”.

„Bardzo mi się to niepodoba”.

„Jako niedoszły artysta nie widzę przyszłości w ramach tej wystawy”.

Część zwiedzających nie ogranicza się do wyrażenia tylko swojego zdania. Dzięki temu możemy się dowiedzieć bardzo ciekawych rzeczy.

„Zobaczysz te obrazy jestem bardzo zgorzsniony”.

„Patrząc na okty nabrałem obrzydzenia do kobiet. Jeszcze parę takich wystaw a zostaną pederastką”.

„Wystawca zrobiła na mnie miłe wrażenie. Stwierdzam, że wychodząc zdenerwowany, wyszedłem ukojony”.

„Degeneracja, dostałem rozstroju nerwowego”.

„Ze wszystkich wypowiedzi przebijają przede wszystkim bezpośredniość i prostota. Tu nie holduje się zawilociom recenzentkiego stylu, nie zważa na aktualne prądy i mody. „Znaczący sztuki” rąbią prawdę prosto w oczy.”

„Mój czteroletni syn maluje lepiej palcem po ścianie. Rysunki do łufy”.

„Brawo! W socjalizmie nawet zbieracze złomu mogą wystawiać znaleziska na wystawie”.

„Bezmisylnie wymachiwanie pędzłem”.

„Gdyby Matejko wstał z grobu, położyłby się z powrotem. Wstąpił dla dzieci i młodzieży do lat 18 powinien być zabroniony”.

„Złota Księga” jest przesycona dowodami szlachetnej pasji, manifestowanej przez nasze społeczeństwo wobec zjawisk sztuki. Pełne zaangażowania i wewnętrznego napięcia głosy, owo fascynujące obnażanie swych poglądów doprowadza do wielu śmiech. Karty „Złotej Księgi” wypełnione są dramatyczną polemiką, jaką toczą między sobą zwiedzający.

„Przyszedłem z ciekawości, wyszedłem z rozpaczą”.

Dopisek: „Idź kupić sobie lizaka i balonik”.

„Denerwująco duża ilość pejzaży. Obrazy realistyczne „biją się” z abstrakcyjnymi”.

Dopisek: „No to co, niech się biją”.

„Spodobala mi się kompozycja”.

„Deska”

„Wspaniały materiał opalony do ugotowania trzeci i pół obiadów”.

Dopisek: „Gotaj kretynie!”

Dopisek: „Naucz się pisać!”

Wielu zwiedzających kieruje swoje uwagi wprost do poszczególnych autorów wystawionych prac.

„Do artystów malarzy! Pod krytyką kaligrafii jest obrazek 43, obrazując kobietę „Nagą”. Gdyż przybyła na wystawę dużo młodzieży płci męskiej. Co oni zaś mogą sobie wyobrazić o kobiecie?”

Dopisek: „Tylko spokój nas może uratować”.

„Brawo Józio! Gratulujemy sukcesu. Tylko się nie zrażaj!”

„O ile się nie mylą, drzewa są okrągłe, a kwiaty nie kwitną w kształcie frójkatów. Na drugi raz, jak będziecie malować, zgłosisz się do mnie, mój adres...”

Wytrawni znawcy sztuki dają znać o sobie na każdej stronie „Złotej Księgi”. Rekord bije jednak pewien krytyk (nazwisko i adres do wiadomości redakcji), który wynalazł zupełnie nową, prawie że genialną metodę oceny wystawianych dzieł.

„W wyniku znużonych poszukiwań udało mi się odkryć całkowicie pewną tablicę porównawczą wartości ponadczasowej dzieł sztuki

plastyki według norm znanych wszytkim. Tablicę tą są stopnie od 5 (bardzo dobre) do 2 (nieodstatecznie) i 2- (nieodstatecznie zupełnie). Między 5 i 2- jest wiele stopni pośrednich, każdy obraz u nich się zmieści bez uszczerbku dla dobra malarza.

Oceniam według tablicy. Sala 1. Na 3+ — nr nr: 222, 25, 265, 182, 156, 131, 212, 264; na 3 — nr nr: 141, 229, 279, 280, 50, 51, 23, 162, 281, 105, 85, 65, 66, 86, 128”.

Nie wszyscy są tak precyzyjni. Nikomu jednak nie zbywa na odwagę. Powodowani pryncypiama krytyki, pewni swojej nieomylności ferują wyroki z podziwu godną odwagą.

„Bzdura i idiotyzm. Farbę lepszą dać dzieciom do szkół, a tych „artystów” skierować do pracy. Jak będą pracować, to nie przijdą im do głowy takie bzdurne pomysły”.

„Ten plastyk jest albo zbroczony albo ma na celu demoralizację młodzieży”.

„Dlaczego pan J... namalował w swoim autoportrecie taki uświadele duży biust. Czyżby był w trakcie zmiany płci?”

„Są to bagry, bagry i jeszcze raz bagry”.

„Ostatnia lapa przed potopem”.

„Psychiatry, przybywajcie!”

Na te niektóre tylko „wypowiedzi”. Inne nie nadają się po prostu do druku.

Pomyślałem sobie kiedyś, że nie warto na te odpadki ludzkich myśli przecznaczać paradnych albumów i złoconych ksiąg. Zaproponowałem więc znajomemu komisarzowi pewnej wielkiej ekspozycji zerwanie z tradycją i zrezygnowanie ze „Złotej Księgi”. Obruszył się. Wystawa bez „Złotej Księgi”? Przecież to była zupełnie kłapa!

BAR

MINUTA MYŚLENIA

Ach, ten Piotr!

ANI „Listy do Mileny”, ani „Listy do pani Z.”, ani „Listy do Nikodema” nie osiągnęły takiej liczby egzemplarzy, co listy do Szepepanka, których fragmenty przyczytała w poprzednim numerze „Kamena”. Mówimy o zalewie poezji. Fraszka w porównaniu z zalewem epistolografii.

Jeszcze to jeden do wiecna paradoksu, którymi wyróżnia się nasz kraj. Z jakiegokolwiek popatrzenia strony. Zaczniemy od adresatek.

Psychologia wiadomo jaka. Kolejno odlicz: hoola hop, twist, big-beat, beatles, animals. Poza tym pokolenie współczesne, więc te tam chropowatości, antysentymentaliz-

my, erotyczna prakseologia. Z tego wszystkiego wyrasta wprawdzie w terminach swolich, ale zawsze coś jakby list miłosny. Kryta maniera naszych prababek nieoczekiwanie podjęta przez naszę „babki”. Przecież pisać list, to trochę się rozrzewnić, wzruszyć, no przecież odezwać w sobie to minimum zapożrebobowania na intymną rozmowę. Jak to przyklic do tak ustalonego obrazu pokolenia? A jeśli w tych warunkach trudno pojąć miłosny list, to już nie do pojęcia jest miłosny anonim. Przecież te wszystkie Kryśle i Joanny wiedzą, że toną w bezmiennym masle wielbicielek, z których, no nie wiem, chyba żadna nie dostąpi spełnienia swych marzeń. Co za satysfakcja pragnąc w postaci zdawkowej!

Poza tym — daleko mi do arbitra kobiecych upodobań i w ogóle do gustibus, ale trudno mi przypuścić, że dla legionu śledemastolatek właśnie Piotr Szepepanik jest tym jednym jedynym. Każda z tych nadawczyń ma chyba jakiegoś z własnego środowiska „sympatie”, bo nie chce się wierzyć, że pierwsze narodzone uczucie posyhowało szlakami PPIEIA „Estrada”, wiec

taki list to trochę jak wiarołomstwo. Jakaś co najmniej niekonsekwencja w stosunku do własnych uczuć, niezależnie od niewymierności tych spraw w kategoriach logiki.

Jak czytelnik widzi, trzymam się tematu i weale nie rozdzieram szat z powodu, że podobnych oznak zainteresowania nie otrzymał profesor Schaff z racji swej ostatniej książki „Filozofia człowieka”. Takie nie odmawiam fortunemu piosenkarzowi pewnych zalet i umiejętności. Nie za bardzo jednak dostrzegam współmierność między piosenką o kormoranach a takim przytępem powszechnej wdzięczności, jakiej świadectwem są listy.

A może weale nie o kormorany i nie o Szepepanika tu chodzi? Może to nieświadoma tęsknota do mikrofonu składa się w wyrazy podziwu dla kogoś, komu ów ideal udało się osiągnąć?

W wyswietlanym parę ładnych lat temu filmie „Wszystko o Ewie” widzieliśmy postępowanie dziewczyny, która spełniała rolę podnóżka znanej aktorki z czystego rachunku uwielbienia po to, by ją wreszcie z aktorskiego siodła wy-

sadzić (i samej wylecieć na skutek podobnej gierki swej następczyni). Bo trudno widzieć w tym zjawisku stronę wyłącznie erotyczną. Miłość jest samolubna i wyłączna, nie bardzo więc jedna z drugą złowczyna godziłaby się na przypadającą jej ilu — tam — milionową część Piotra Szepepanika.

Tak czy owak sngnum temporis jak ulał. Dla socjologów i psychologów szeptanikologia otwiera się jako nowy zakres badań. Szkoła tylko listonoszy, z których niefednen nie wie, w służbę jakiej sprawy oddaje swój ischias i reumatyzm. Nie jeden też żałuje, że za młodu nie dostał jakiegoś kormorana. Zamiast nosić, czytałby teraz listy tęhnące szerzością aż do ekshibicjonizmu, gotowością co do dnia i godziny, przejrzystością intencji rugującą wszelkie ozdobiliki stylu z ortografią włącznie.

Sensatio fiat ubi vult. Jaka będzie następna? Co nowe serc dzieńnie obudzi ku sferom upojnym, jak deszcz wiosenny? Jak przewidzieć? Trzeba znać sposób powstawiania tych zjawisk. Nazywa się enteliekicypielicki.

Ijon

BIG-BEAT

Dobrze nam tak...

PANIE Redaktorze! Po moich trzech felietonach, które był Pan uprzejmy wydrukować na łamach „Kamena”, otrzymałem już kilka listów. Cieszy mnie to niezmiernie, gdyż strasznie nie lubię pisać „sobie a muzom”.

Przed wszystkim bardzo chciałbym podziękować Panu Andrzejowi Cibi z Kraśnika za serdeczne pozdrowienia. Jak czytelnicy zapewniam sobie przypominają, już nieukrotnie wymieniałem nazwisko Pana Andrzeja. Najpierw nie szczędziłem ostrych słów na temat jednego wiersza, który Pan Andrzej wydrukował w „Zyciu KFWM”, później zaś wspominałem o innym utworze P. Andrzeja wydrukowanym w dodatku kulturalnym „Sztandaru Ludu”. „Pan Ciba — pisalem — jeśli chce, jeśli tworzo zopracuje, potrąfi napisać do rzeczy. A może to jest tak: do „Zycia KFWM” idą buble, a do „Kultury i Zycia” towar ze znakiem najwyższej — no, powiedzmy średniej jakości”.

Cieszę się, że Pan Andrzej — jak sam o tym pisze — nie ma do mnie żalu i zaczyna wierzyć, że „są jednak ludzie, którzy czytają moje wiersze, mato — wnioskuję z ich treści, myśla o nich i dzielą się uwagami na ich temat z ogółem czytelników, których „Kamena” ma przecież wielu”.

Nie wszyscy mają jednak tyle taktu i poczucia humoru, co Pan Andrzej. Otrzymałem anonimowy (dlaczego anonimowy?) list, w którym czytelnik oburzył się na moją wzmiankę o pewnej nauczycielce nadużywającej w stosunku do swych wychowanków mowy ojczystej. „Czarami — stwierdza — i nauczyciela mogą ponieść nerwy, gdy ma do czynienia z bandą chuliganów. I cóż to za czasy, kiedy byle szeptanik zabiera głos publicznie i krytykuje pedagogów. Byłoby lepiej. Jacku, gdybyś zajął się nauką (matura blisko), a nie wypisywaniem paszkwili. Gdy dorosisz i wiele rzeczy zrozumiesz, sam będziesz się wstydził tych swoich pierwoćin”.

Trudno mi dziś powiedzieć, co będzie, „gdy”. Niech się jednak tajemniczy korespondent nie martwi moją nauką. Na okres miałem tylko jedną trójkę. I to nie z najważniejszego przedmiotu.

Ale doś już na temat listów. Samo życie dyktuje tematy. Oto „Kurier Lubelski” doniósł o niemiłym zjawisku w uczelni jednej ze szkół lubelskich, którzy schowali spódnice nauczycielki wychowania fizycznego. Stało się to w momencie, gdy nauczycielka zebrała się, aby prowadzić lekcję w sali gimnastycznej. Ostatecznie musiała ona udać się do domu w pożyczonym garderobie. „Kurier” nie informuje, czy spódnica później znalazła się, czy też zginęła na amen. A swoją drogą dobrze, że zginęła tylko spódnica. Co by było, gdyby schowano „nauczycielkę”.

W tym samym numerze „Kuriera” na inny temat żartuje red. Lesław Gnot w swoich „Trzech grozach”. Lubelska Estrada — stwierdza — zdobyła się na wspaniały gest. Na ulicach Lublina pojawiły się afizki zapowiadające występy oryginalne-

go zespołu londyńskiego. Miłośnicy muzyki narecznie będą mieli okazję posłuchać importowanego za autentyczne dewizy big-beatu. Będą mogli do woli wyć, tupać, zrywać koszuły i ciskać na scenę cukierkami. Nieliczni malkontenci twierdzą — dalej cytując red. L. Gnota — że zespół, który prezentuje nam lubelska Estrada, to siódma woda po kieliszu przesławnych Beatlesów, że nawet ich czupryny są sztucznie przedłużone...

Nie widziałem jeszcze owego zespołu, który z góry naraził się autorowi „Trzech groz”, ale pochwały („wspaniały gest”) trzeba kierować pod innym adresem niż lubelskiej Estrady. Chyba nie kierownictwo lubelskiej Estrady decydowało o zaproszeniu kudłatych chipowów do Polski? Kompetencje kierownictwa lubelskiej Estrady są na pewno daleko mniejsze, ale — wydaje mi się — wykorzystywane z pożytkiem. Ostatnio np. poza interesującym kabaretem „Małpa” ogłędaliśmy teatrzyk wrocławski „Dreszczowiec”. Rena Rolska dała prawdziwy koncert gry. Marian Jonkajtys, Wojciech Młynarski czy Robert Polak szturmem zdobyli lubelską publiczność, która przecież uchodzi za miłą oczkoluciek dość wybredną. W planach lubelskiej Estrady są także inne interesujące pozycje, które i felietonista powinien zauważyć. Ciągłe lanie tej placówki mnie osobliwie już znężyło. Chyba nie jestem osamotniony?

Tak samo nie szczędzi się krytycznych uwag pod adresem lubelskiego teatru. Mój imiennik. Pan Jacek Frühling spozstrzegł u „Kuriera Lubelskim”, że Miroslaw Gruszczynski w „Horsztyńskim” nerwowo miota się po scenie, że Janusz Cywiński gra poprawnie, ale szaro, że Włodzimierz Wiszniewski raz po

raz nadużywa grzmącego śmiechu i głosu, że w belkocie zgubił się Jerzy Snyk, że scenografia Warpechowskiego nie wnosi nic, co mogłoby budzić specjalną uwagę. W innym miejscu Pan Jacek Frühling stwierdza, że kto miał szczęście oglądać przed wojną Horsztyńskiego w t. kiej to a takiej obsadzie rozumie, dlaczego sztuka ta tak rzadko zjawia się na naszych scenach. „Dobrze świadczy o ambicjach sceny lubelskiej, że nie przekłada się tych trudności niemal nie do pokonania i podjęła trud, niestety raczej szczytowy”.

Nie miałem szczęścia, jak i moim rówieśnicy oglądać „Horsztyńskiego” przed wojną, ale widziałem przedstawienie lubelskie i miałem później nieszczerze czytać recenzję Pana Jacka Frühlinga. Raczyl przyjechać do naszego grodu, raczyl zobaczyć spektakl, raczyl napisać. Na kilku stronach maszynopisu składował kilkunastominutowy wyitek. Wystawil świadectwo, w którym rosił się od ocen niedostatecznych.

Można i tak, zastanawiam się jednak, co aktorom daje taka recenzja? Zechęca ich do pracy, do tworzących poszukiwań? Na miejscu dyrektora teatru powiedziałbym: „Po co mi „Horsztyński”? Po co mi „Mazepa”? Wystarczy „Dama kamelowa” czy „Niech no tylko zakwieć jablonie”. Publiczność wali drzwiami i oknami, nawet jeśli zasłużony skład recenzent miota się w „Kurierze”, nadużywa grzmącego śmiechu i „bi się w belkocie”.

Na szczęście sikił się dzisiaj recenzjami nie przejmuję. Zlobasz-czydy ilu recenzentów — tyle przeliczaniowych sądów. Ale mi, Polak, jesteśmy narodem indywidualistycznym. Dobrze nam tak!

Jacek